PUCHAR POLSKI

FINAŁ
PUCHARU POLSKI



POGOŃ SZCZECIN **vs** **LEGIA** WARSZAWA

PGE NARODOWY, WARSZAWA | 2 MAJA 2025 | 16:00

Łączy nas piłka

PRECISION ON POINT



PHANTOM GX

PUCHAR POLSKI

Wydawca: **Polski Związek Piłki Nożnej**
ul. Bitwy Warszawskiej 1920 r. 7
02-366 Warszawa
tel.: 732 122 222
fax: +48 (22) 55 12 240
e-mail: pzpn@pzpn.pl
www.pzpn.pl, www.laczynaspilka.pl

Redakcja: Jacek Janczewski, Paweł Drażba, Emil Kopański, Szymon Tomasik, Rafał Cepko, Rafał Byrski, Piotr Kuczkowski, Adrian Woźniak, Norbert Bandurski, Piotr Wiśniewski, Tadeusz Danisz, Piotr Chołdrych.
Skład graficzny: Piotr Przychodzeń.
Studio graficzne: Filip Troczyński.
Foto: Archiwum PZPN, Łukasz Grochala, Cyfrasport, Paula Duda, Mateusz Kostrzewa, East News, PAP.

KADRA POGONI SZCZECIN



Kuba Bochniarz
05.03.2009
73/182
Bramkarz



Valentin Cojocaru
01.10.1995
84/195
Bramkarz



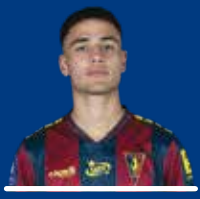
Krzysztof Kamiński
26.11.1990
81/191
Bramkarz



Léo Borges
03.01.2001
74/179
Obrońca



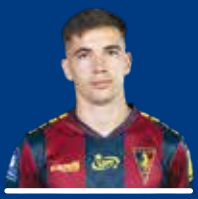
Luiz Gustavo „Luizao”
08.03.2002
80/187
Obrońca



Dimítrios Keramítsis
01.07.2004
78/193
Obrońca



Leonárdo Koútris
23.07.1995
69/175
Obrońca



Jakub Lis
14.01.2002
66/178
Obrońca



Wojciech Lisowski
10.02.1992
74/186
Obrońca



Danijel Lončar
26.06.1997
85/189
Obrońca



Mariusz Malec
04.04.1995
76/189
Obrońca



Benjamín Rojas
01.03.2001
80/179
Obrońca



Linus Wahlqvist
11.11.1996
80/184
Obrońca



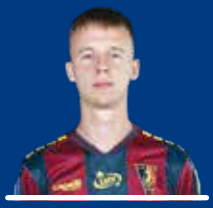
Mateusz Bąk
01.07.2003
71/180
Pomocnik



João Gamboa
31.08.1996
80/187
Pomocnik



Kamil Grosicki
08.06.1988
78/180
Pomocnik



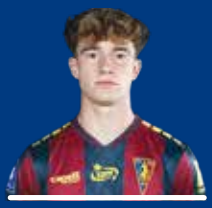
Olaf Korczakowski
11.11.2003
71/183
Pomocnik



Rafał Kurzawa
29.01.1993
73/182
Pomocnik



Kacper Łukasiak
24.09.2003
73/180
Pomocnik



Adrian Przyborek
01.01.2007
73/184
Pomocnik



Kacper Smoliński
07.02.2001
68/177
Pomocnik



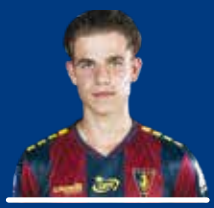
Fredrik Ulvestad
17.06.1992
79/183
Pomocnik



Marcel Wędrychowski
13.01.2002
69/171
Pomocnik



Maciej Wojciechowski
17.05.2007
70/178
Pomocnik



Antoni Klukowski
02.04.2007
72/185
Napastnik



Efthýmis Koulouris
06.03.1996
81/184
Napastnik



Patryk Paryzek
03.02.2006
75/190
Napastnik



ROBERT KOLENDOWICZ

Urodzony 26 września 1980 roku, przygodę z futbolem rozpoczynał w juniorskich zespołach MKS Chocicza. Zanim trafił do akademii Olimpii Poznań, przywdziewał także koszulkę SKS 13 Poznań. Na poziomie juniorskim występował także w Sokole Pniewy, Opale Pniewy oraz MSP Szamotuły. Pierwsze seniorskie kroki stawiał w Amice Wronki, jednak nie zdołał zadebiutować w jej barwach na poziomie Ekstraklasy. Premierowy mecz na najwyższym poziomie rozgrywkowym zanotował 17 października 1998 roku, będąc już piłkarzem Lecha Poznań. W kolejnych latach grał dla Warty Poznań, belgijskiego RRC Heirnis Gent, Dyskobolii Grodzisk Wielkopolski, GKS Bełchatów, Korony Kielce, ŁKS Łódź, Zagłębia Lubin, Odry Wodzisław Śląski, Pogoni Szczecin, Floty Świnoujście i Mewy Resko. Na poziomie Ekstraklasy zanotował łącznie 98 występów, zdobywając pięć bramek. W 2007 roku z Zagłębiem sięgnął po mistrzostwo Polski. Robert Kolendowicz jako piłkarz zapisał także w swoim CV epizod reprezentacyjny. 6 grudnia 2006 roku wystąpił w spotkaniu ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i – mimo powołania na kolejne zgrupowanie – więcej w koszulce z orłem na piersi nie wystąpił.

Po zakończeniu kariery zawodniczej Robert Kolendowicz podjął się pracy trenerskiej. Od samego początku związany jest w niej z Pogonią Szczecin. Przechodził przez kolejne szczeble w klubowej akademii, a w latach 2018-2024 pełnił funkcję asystenta w pierwszym zespole „Portowców". W sierpniu 2024 roku, po odejściu Jensa Gustafssona, przejął obowiązki pierwszego trenera Pogoni, którą prowadzi do dziś.

Droga Pogoni Szczecin do finału Pucharu Polski

I RUNDA
24 września 2024, Rzeszów
Stal Rzeszów – Pogoń Szczecin 0:3 (0:1)
Bramki: Rafał Kurzawa 24, Efthýmis Koulouris 71, Wahan Biczachczjan 85

1/16 FINAŁU
29 października 2024, Opole
Odra Opole – Pogoń Szczecin 0:1 pd. (0:0, 0:0)
Bramka: Kamil Grosicki 92

1/8 FINAŁU
4 grudnia 2024, Szczecin
Pogoń Szczecin – Zagłębie Lubin 4:3 (2:1)
Bramki: Kamil Grosicki 19, Wahan Biczachczjan 24, Alexander Gorgon 51, Patryk Paryzek 88 – Tomasz Pieńko 44 k, Dawid Kurminowski 62, 77

1/4 FINAŁU
26 lutego 2025, Szczecin
Pogoń Szczecin – Piast Gliwice 2:0 pd. (0:0, 0:0)
Bramki: Efthýmis Koulouris 106, Kamil Grosicki 120

1/2 FINAŁU
1 kwietnia 2025, Niepołomice
Puszcza Niepołomice – Pogoń Szczecin 0:3 (0:2)
Bramki: Leonardo Koutris 5, Linus Wahlqvist 36, Efthýmis Koulouris 52

SZTAB SZKOLENIOWY



Robert Kolendowicz
Trener



Tomasz Grzegorczyk
Trener asystent



Dawid Nowak
Trener asystent



Paweł Ozga
Trener asystent



Rafał Buryta
Trener przygotowania motorycznego



Łukasz Rosiński
Trener przygotowania motorycznego



Piotr Szumiło
Trener przygotowania motorycznego



Andrzej Krzyształowicz
Trener bramkarzy



Tomasz Krzywonos
Trener analityk



Krzysztof Stolorz
Trener analityk



Daniel Strzelecki
Kierownik drużyny



Michał Chmielnicki
Lekarz



Dawid Ciechanowicz
Lekarz



Maciej Mościbroda
Lekarz



Bartosz Paprota
Lekarz



Mariusz Pietrzak
Lekarz



Wojciech Herman
Koordynator zespołu fizjoterapeutów



Łukasz Dłużniewski
Fizjoterapeuta



Konrad Lisowicz
Fizjoterapeuta



Dawid Wronecki
Fizjoterapeuta



Maciej Sołtykowicz
Kierownik techniczny



Łukasz Rogowski
Szef kuchni



Wojciech Zep
Dietetyk



Maja Marciniak
Trener mentalny

ROBERT KOLENDOWICZ: WIERZĘ, ŻE NASZ PLAN PRZYNIESIE SUKCES

Robert Kolendowicz Pogoń Szczecin prowadzi od sierpnia ubiegłego roku. 2 maja może w roli szkoleniowca dać swojemu klubowi historyczne, pierwsze trofeum. – Wierzę, że będziemy tego dnia nie do powstrzymania – mówi przed finałem Pucharu Polski.



Czuje pan dodatkową presję przed finałem Pucharu Polski? Może pan przejść do historii klubu jako szkoleniowiec, który dał Pogoni trofeum.
Do historii może przejść przede wszystkim cała drużyna. Wszyscy czujemy ekscytację. W tym sezonie wielokrotnie powtarzałem, że w Pucharze Polski mamy swoje niezałatwione sprawy. I wciąż tak na to patrzę. Jesteśmy w finale, ale to nie jest nasz cel. To wciąż etap drogi, która – mocno w to wierzę – zaprowadzi nas w piękne miejsce.



W minionym roku Pogoń niespodziewanie przegrała z Wisłą Kraków. Był pan wówczas asystentem trenera Jensa Gustafssona. Wyciągnął pan z tego doświadczenia jakieś wnioski, które tym razem mogą pomóc w walce o zwycięstwo?
To była bardzo bolesna lekcja. Wszyscy w klubie mocno przeżyliśmy ubiegłoroczną porażkę. Ale otrzepaliśmy się już po niej, a z tego doświadczenia wzięliśmy tak dużo jak tylko mogliśmy, by zaprocentowało w przyszłości. To wszystko doprowadziło nas ponownie do finału. Z tą różnicą, że dziś jesteśmy drużyną bardziej świadomą i doświadczoną. A to nam tylko pomoże.

Tylko jeden piłkarz w pańskim zespole – Kamil Grosicki – zna smak triumfu w Pucharze Polski. Teraz zapowiada, że nie zakończy kariery, dopóki nie przyniesie Pogoni choćby jednego trofeum. Rozmawiał pan z nim na ten temat? Czy tak doświadczony i żądny sukcesu piłkarz może być największym atutem zespołu?
Kamil jest fantastycznym człowiekiem i piłkarzem. Dla mnie to zaszczyt, że mogę prowadzić takiego zawodnika. Kamil wielokrotnie powtarzał, że w tym sezonie mecze Pucharu Polski traktował w wyjątkowy sposób. I nie są to puste słowa – wystarczy przypomnieć sobie choćby jego bramki w dogrywkach w meczach z Odrą Opole czy Piastem Gliwice. Zrobimy jako drużyna wszystko, by nasz kapitan mógł po meczu unieść puchar jako pierwszy.

Rozgrywki krajowego pucharu – jako rzecze stare, piłkarskie porzekadło – rządzą się swoimi prawami. Który moment, który mecz na drodze Pogoni był dla pana i Pańskiego zespołu najtrudniejszy?
Przewrotnie powiem, że nie było łatwych. Nawet gdy graliśmy spotkania z drużynami z niższych lig, wiązało się to dla Pogoni z bardzo dalekimi wyjazdami. Każde spotkanie miało swoją historię – w 1/8 finału musieliśmy radzić sobie na przykład bez Efthymisa Koulourisa, który we wcześniejszej rundzie obejrzał 2 czerwone kartki. Bardzo trudną przeprawę – jak zawsze – zafundował nam Piast Gliwice. Myślę, że zwłaszcza kibice po tym morderczym meczu z gliwiczanami wygranym w dogrywce poczuli, że kolejny udział w finale „Dumy Pomorza" jest naprawdę blisko i drużyna nie wypuści tej okazji z rąk.

Jakie atuty ma Pogoń, których nie ma Legia? Jakie czynniki mogą zaważyć na zwycięstwie właśnie pańskiego zespołu?
Znamy jakość swojej drużyny. Na pewno jednak nie odpowiem na tak zadane pytanie. Szanujemy naszego rywala, to świetna drużyna, która w tym sezonie zaliczyła piękną, europejską przygodę. Pracowała wówczas dla całego polskiego futbolu, zbierając punkty rankingowe. Ale my wiemy, jak z Legią grać. W tym sezonie mierzyliśmy się dwukrotnie. Teraz zagramy na neutralnym boisku. Z ogromnym wsparciem kibiców ze Szczecina, których tysiące przyjadą do stolicy. Wierzę, że będziemy tego dnia nie do powstrzymania.

Ewentualne zwycięstwo w rozgrywkach Pucharu Polski potraktuje pan jako największy sukces w dotychczasowej karierze, biorąc też pod uwagę karierę zawodniczą?
Nie da porównać się sukcesów kariery piłkarskiej i trenerskiej. Zakres obowiązków i odpowiedzialności jest zupełnie inny. Moja kariera trenerska jest obecnie dość krótka – w tej sytuacji odpowiedź jest oczywista.

Na PGE Narodowym spotkają się drużyny, które imponują swoją formą strzelecką w rozgrywkach Pucharu Polski. Czy pańskim zdaniem kibice mogą spodziewać się otwartego, atrakcyjnego widowiska?
Takie mecze zawsze są wyjątkowe. Chwilę po ostatnim gwizdku sędziego nikt nie mówi o tym, w jakim stylu był rozegrany i kto grał ładnie. Liczy się zdobycie trofeum. Jesteśmy do tego spotkania bardzo dobrze przygotowani, zamierzamy realizować swój plan. Plan, który – mocno w to wierzę – przyniesie nam sukces.

KADRA LEGII WARSZAWA

GONCALO FEIO

REKLAMA

DWAJ TRENERZY, DWIE HISTORIE, DWA CHARAKTERY I JEDEN CEL. KOLENDOWICZ VS FEIO



Przed Robertem Kolendowiczem i Goncalo Feio najważniejsze spotkanie w dotychczasowej karierze na ławce trenerskiej. Czeka ich finał Pucharu Polski, który jednemu z nich zapewni pierwsze trofeum w samodzielnej, szkoleniowej pracy. Czy górę weźmie boiskowe doświadczenie Polaka, czy jednak świętować będzie Portugalczyk? Odpowiedź na to pytanie już 2 maja 2025 roku.





„Traktujemy rozgrywki pucharowe na równi z ligą. Chcemy osiągnąć w nich sukces."

Robert Kolendowicz po meczu Stal Rzeszów – Pogoń Szczecin 0:3 (I runda)

Odzyskać to, co w ostatniej chwili wypuścili z rok w wielkim finale poprzednich rozgrywek. W konfrontacji z krakowską Wisłą na PGE Narodowym „Portowcy" prowadzili do ostatnich sekund 1:0, żeby ostatecznie przegrać po dogrywce 1:2. Robert Kolendowicz był wówczas asystentem Jensa Gustafssona i dobrze pamięta gorycz tamtej porażki. I niespodziewanie to on stanął na czele piłkarskiego projektu w Szczecinie, po tym jak w sierpniu Szwed zamiast kontynuacji pracy w Polsce, wybrał lukratywną propozycję z Arabii Saudyjskiej. Dla byłego piłkarza Pogoni i jednokrotnego reprezentanta Polski, było to niemałe wyzwanie, któremu stawił czoła i jak pokazały kolejne miesiące – podołał.

„Puchar Polski jest trochę podobny do pucharów europejskich. Mamy doświadczenie i w końcówce meczu powinniśmy to lepiej wykorzystać."

Goncalo Feio po meczu Miedź Legnica – Legia Warszawa 1:2 (1/16 finału)

Niespodziewanie, rolę pierwszego trenera najbardziej medialnego klubu w Polsce, już w kwietniu 2024 roku powierzono zaledwie 34-letniemu szkoleniowcowi rodem z Lizbony. Feio miał już na koncie co prawda dwa tytuły Pucharu Polski, ale jako asystent Marka Papszuna w Rakowie Częstochowa. Również mistrzostwo z Legią, jako członek sztabu Henninga Berga. Samodzielnie pracował tylko w pierwszoligowym Motorze. Z pracy w Lublinie ostatecznie sam zrezygnował, mimo że zespół walczył o awans do PKO BP Ekstraklasy. Z Legią, po zastąpieniu Kosty Runjaicia, dokończył sezon na najniższym stopniu podium i wprowadził ją do europejskich pucharów. W sezonie 2024/25 miał walczyć o sukcesy na trzech frontach, chociaż na starcie zmagań w Pucharze Polski, nieoczekiwanie „Wojskowym" postawiła się pierwszoligowa Miedź.

„W sporcie nigdy nie można niczego obiecywać, ale robimy wszystko żeby zwyciężać i jeśli tak będzie w Pucharze Polski to właśnie na PGE Narodowy prowadzi droga."

Robert Kolendowicz dla Radia Eska przed meczem Odra Opole – Pogoń Szczecin 0:1 pd. (1/16 finału)

Jeśli chodzi o temperament, to szkoleniowiec Pogoni Szczecin ma trochę na sumieniu. Emocje poniosły go m.in. podczas wspomnianego finału „Pucharu Tysiąca Drużyn" w poprzednim sezonie, za co swoich podopiecznych zarówno w starciu ze Stalą w Rzeszowie, jak i Odrą w Opolu musiał obserwować z wysokości trybun. Na ławce zastąpił go wówczas Paweł Ozga, a drużyna pod jego wodzą – nie bez problemów w 1/16 finału – uporała się z niżej notowanymi przeciwnikami. Również w rozgrywkach ligowych w trwającym sezonie, trener „Portowców" był dyscyplinowany przez arbitrów. W meczu 11. kolejki PKO BP Ekstraklasy z Piastem Gliwice obejrzał nawet czerwoną kartkę. I choć sam twierdził, że został niesłusznie upomniany za nieznaczne wkroczenie na boisko, Komisja Ligi „wyceniła" jego zachowanie na dwa mecze zawieszenia.

„To nie jest tydzień, w którym my jako Legia możemy świętować. Cały klub jest w żałobie. Mogliśmy dzisiaj wygrać, aby zrobić to dla Pana Lucjana."

Goncalo Feio po meczu ŁKS Łódź – Legia Warszawa 0:3 (1/8 finału)

Feio przyszło prowadzić zespół z Warszawy w jednym z najtrudniejszych momentów w najnowszej historii klubu. Trzy dni po śmierci jednej z największych postaci w dziejach Legii – Lucjana Brychczego – „Wojskowi" pojechali do Łodzi walczyć o awans do ćwierćfinału z ŁKS-em. I mimo słabej pierwszej połowy, w drugiej bez trudu rozprawili się z niżej notowanym rywalem. Należy podkreślić, że zarówno piłkarze, jak i szkoleniowiec drużyny z Łazienkowskiej, godnie pożegnali klubową ikonę. Nie tylko poprzez wynik sportowy, ale również postawę zaprezentowaną poza boiskiem.





„Wydaje mi się, że byliśmy zespołem lepszym. Zwłaszcza w pierwszej połowie. Wtedy powinniśmy ten mecz zamknąć. Tak to jest, że gdy się przeciwnikowi daje nadzieje, to są potem problemy."

Robert Kolendowicz po meczu Pogoń Szczecin – Zagłębie Lubin 4:3 (1/8 finału)

Faktycznie, „problemy" to słowo idealnie pasujące do występów ekipy z portowego miasta w obecnej edycji Pucharu Polski. W walce o ćwierćfinał, mimo atutu własnego boiska i powrotu szkoleniowca na ławkę, o przedłużenie marzeń o końcowym triumfie musieli drżeć do ostatnich minut. Robert Kolendowicz w tym spotkaniu udowodnił jednak, że nie brakuje mu jednej z najważniejszych cech niezbędnych w zawodzie trenera – intuicji. Niespełna dwadzieścia minut przed końcem posłał w bój Patryka Paryzka i to właśnie 18-latek przesądził o końcowym sukcesie gospodarzy. Był to również dowód na to, że szkoleniowiec Pogoni, nawet w trudnych i kluczowych dla losów rywalizacji momentach, nie boi się stawiać na młodych, polskich piłkarzy.

„Nie zawsze brak zwycięstwa oznacza brak ambicji i zaangażowania. To nam się nie zdarza. Miewaliśmy lepsze, gorsze mecze. O braku zaangażowania powiedziałem tylko raz w tym sezonie, po meczu w Radomiu."

Goncalo Feio po meczu Legia Warszawa – Jagiellonia Białystok 3:1 (1/4 finału)

Umiejętność wstrząśnięcia zawodnikami i wywołania pozytywnego efektu, to coś, co w przypadku portugalskiego szkoleniowca przydało się przed „przedwczesnym finałem", jak nazywano ćwierćfinałowe starcie Legii z mistrzem Polski. Fakty są bowiem takie, że w lidze „Wojskowi" rozczarowywali, czego wyrazem była wyjazdowa porażka kilka dni wcześniej z Radomiakiem 1:3. Dla zespołu z Łazienkowskiej priorytetem (obok kontynuowania udanej przygody w Lidze Konferencji) stawały się więc rozgrywki o Puchar Polski, które mogły zapewnić mu przepustkę do międzynarodowej rywalizacji w kolejnej kampanii. I mimo że w spotkaniu z „Jagą" nie zabrakło kontrowersji, podopieczni Feio sportowo się obronili, zapewniając sobie miejsce w czołowej czwórce rozgrywek.

„Jesteśmy dalej w Pucharze Polski i to najważniejsze. Mamy tam ciągle „unfinished business". Mówiłem wam o krętych drogach, które prowadzą czasem do pięknych miejsc. Mam nadzieję, że trafimy wreszcie do tego pięknego miejsca."

Robert Kolendowicz po meczu Pogoń Szczecin – Piast Gliwice 2:0 pd. (1/4 finału)

Nieważne jak, ważne że „do przodu". Chęć dokończenia biznesu sprzed roku w Szczecinie od początku obecnych rozgrywek jest idée fixe wszystkich osób skupionych wokół klubu z ulicy Twardowskiego. I co naturalne, uosobieniem tych oczekiwań i pragnień, a zarazem głównym odpo-

wiedzialnym za ich realizację jest szkoleniowiec. Wygląda na to, że Robert Kolendowicz doskonale zdaje sobie z tego sprawę, a co najważniejsze, potrafił doskonale przygotować zespół do nadchodzących wyzwań. Dlatego nad ćwierćfinałowymi „męczarniami" z Piastem nikt specjalnie nie rozdzierał szat. Tym bardziej, że Pogoń od początku wiosny świetnie punktowała w lidze. To wszystko sprawiło, że „Portowcy" nie tylko zameldowali się w półfinale Pucharu Polski, ale znów mogli realnie myśleć o miejscu w strefie medalowej Ekstraklasy.

„Może się wydawać, że to było łatwe spotkanie. Ale takich meczów nie ma. Tu chodzi o pracę, którą wykonała drużyna. Powiedziałem w szatni, że gratuluję poważnego występu, zarządzania momentami meczów i skromności, którą zwycięzcy powinni mieć."

Goncalo Feio po meczu Ruch Chorzów – Legia Warszawa 0:5 (1/2 finału)



Mentalność zwycięzców, ciężka praca wykonana przez zespół, która daje efekty, brak lekceważenia przeciwnika. Niby piłkarskie banały, ale wygląda na to, że Portugalczyk na ławce Legii podchodzi do nich nad wyraz poważnie. I choć nie zawsze jego filozofia daje oczekiwane przez fanów 20-krotnych zdobywców Pucharu Polski skutki, w swojej logice Feio wydaje się być konsekwentny. W trakcie sezonu 2024/25 w Warszawie oczywiście nie brakowało krytyków jego pracy, a spekulacje na temat kolejnego szkoleniowca „Wojskowych" są niemal stałym tematem w medialnej debacie. Paliwa przeciwnikom dodaje z pewnością stosunkowo szybkie wypisanie się z walki o mistrzostwo. Za szkoleniowcem przemawiają występy w Europie i awans do finału Pucharu Polski, w którym z klubem z Łazienkowskiej będzie mógł wyśrubować należący do Legii rekord wszech czasów.

„W tym sezonie mówiłem już wielokrotnie, że idziemy metodą małych kroków. Następny krok czeka nas w finale. Będziemy gotowi."

Robert Kolendowicz po meczu Puszcza Niepołomice – Pogoń Szczecin 0:3 (1/2 finału)

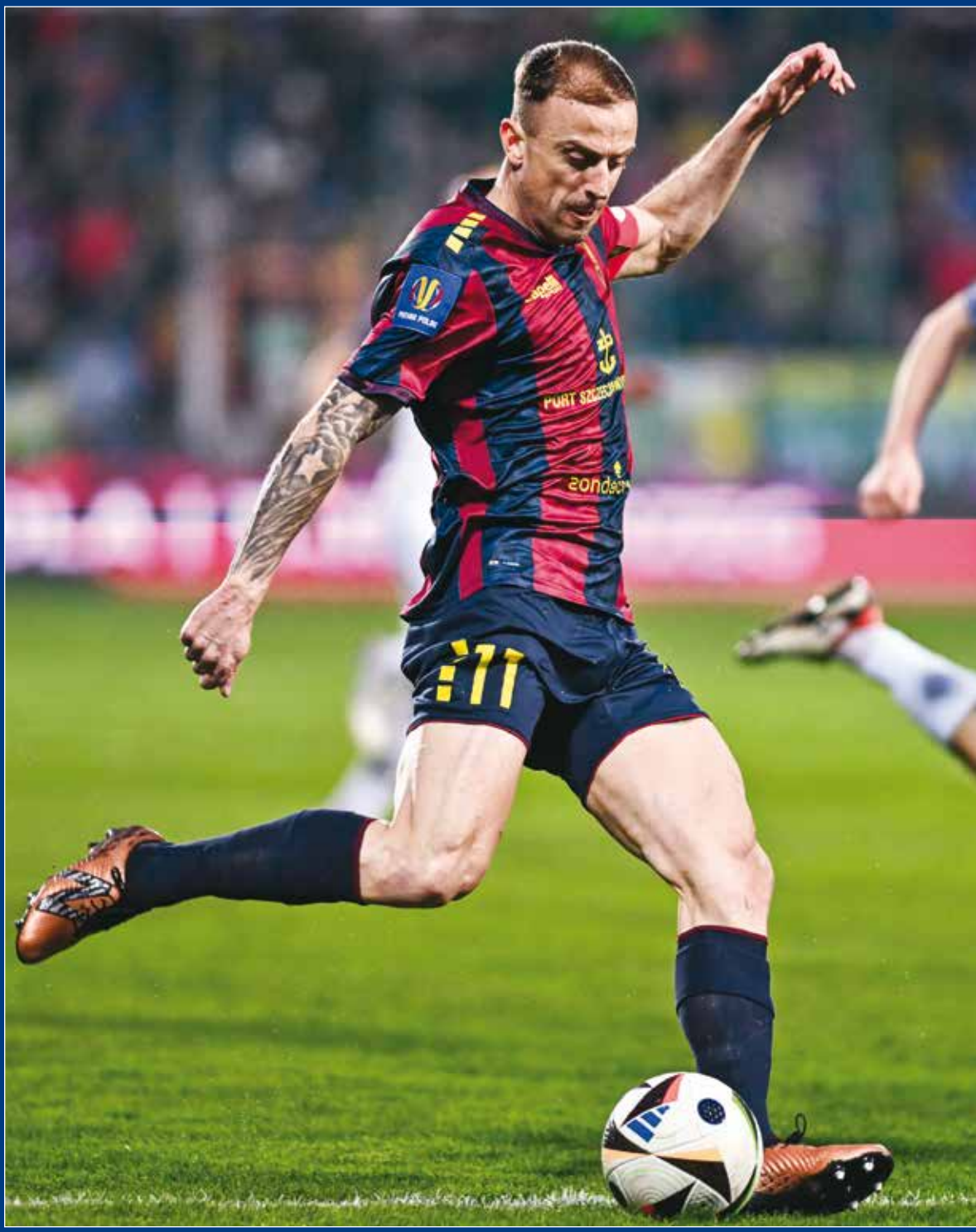
Kroków do wielkiego finału Pucharu Polski Pogoń wykonała dokładnie pięć i choć zaledwie dwa z nich prowadziły po równiej drodze bez przeszkód (pewne zwycięstwa nad Stalą Rzeszów i Puszczą Niepołomice), przed decydującym starciem w stolicy zespół ze Szczecina nie stoi na straconej pozycji. Robert Kolendowicz już w pierwszym roku samodzielnej trenerskiej pracy ma szansę zapisania się w historii klubu. „Portowcy" bowiem nigdy nie sięgnęli po żadne trofeum i ewentualny „Puchar Tysiąca Drużyn" będzie pierwszym w klubowej gablocie. Wobec czterech przegranych finałów, w tym przede wszystkim tego ubiegłorocznego, oczekiwania i presja osiągają olbrzymie rozmiary. Ale czy w sporcie jest coś lepszego od mierzenia się z takimi wyzwaniami? Choćby robiąc to małymi krokami.


capelli
SPORT
zondacrypto

KAMIL GROSICKI: DOŚWIADCZENIE Z UBIEGŁEGO ROKU MOŻE NAM TYLKO POMÓC



Ubiegłoroczny finał Pucharu Polski był jednym z najtrudniejszych momentów w piłkarskiej karierze Kamila Grosickiego. Pogoń Szczecin dzieliło zaledwie kilkadziesiąt sekund od upragnionego trofeum, ale marzenia trzeba było odłożyć na kolejny rok. „Portowcy" ponownie przeszli trudną drogę i znów zameldowali się w finale, na który jako kapitan wyprowadzi ich Kamil Grosicki. – Utrzymanie chłodnej głowy w tym meczu będzie bardzo ważne. Spaliliśmy się już w ubiegłym roku, teraz nie możemy sobie na to pozwolić – powiedział „Grosik".





Udało ci się oczyścić głowę po poprzednim finale Pucharu Polski?
Tak, choć nie da się o nim całkowicie zapomnieć. Tamten etap oddzieliłem grubą kreską w styczniu, gdy klub rozpoczął przygotowania do rundy wiosennej. Zawsze będę powtarzał – jeśli nie uda mi się wygrać trofeum z Pogonią, to tamten przegrany finał będę miał zawsze przed oczami. To najgorsze i najbardziej bolesne doświadczenie w mojej karierze. Jestem wychowankiem Pogoni i wróciłem do Szczecina, żeby napisać historię. Każdy wie, że głód trofeum był ogromny, więc tamten zawód miał jeszcze większy wydźwięk. Piłka nożna jest piękna i brutalna. W tamtej sytuacji musieliśmy cierpieć. Bolało, gdy byłem jeszcze na stadionie, ale ten bagaż emocjonalny siedział jeszcze we mnie przez kolejne dni, a nawet tygodnie. Moi najbliżsi doskonale wiedzą, jak dużo ta porażka mnie kosztowała. Kiedyś przegrałem finał Pucharu Francji, gdy byłem piłkarzem Stade Rennais, ale nawet nie da się porównać do tego, co czułem będąc piłkarzem Pogoni. Mimo wszystko głęboko wierzyłem, że jako klub jesteśmy w stanie stanąć na nogi i wrócić na PGE Narodowy.

Szybko minął ci ten rok?
Bardzo szybko. Dopiero co rywalizowaliśmy z Wisłą Kraków w Warszawie, a teraz ponownie wystąpimy w finale Pucharu Polski. Nie ma co się oszukiwać – mam już swoje lata i moja kariera dobiega powoli końca, ale jeszcze mam wpływ na to, co dzieje się na boisku i chcę jak najwięcej pomagać swoją obecnością mojej drużynie. Piłka nożna też wciąż sprawia mi radość. Jestem dumny z kolegów z zespołu, że w minionych miesiącach potrafiliśmy zrobić wszystko, aby wrócić do finału, choć łatwo nie było, bo mierzyliśmy się z wieloma trudnymi sytuacjami.

W poprzedniej edycji musieliście sporo się napracować, żeby dotrzeć na PGE Narodowy. Teraz też was to dużo kosztowało, ale nie tylko na boisku. Dużo się pozmieniało w Pogoni w ciągu ostatniego roku.

Nasza droga do finału była piękna, ale bardzo ciężka. Poprzednie mecze pucharowe były dla nas wymagające, nawet z pierwszoligowcami. Każda rywalizacja pokazała nam, ile trzeba było włożyć serca i zaangażowania, aby zrealizować nasze marzenia. Niestety, po drodze były też duże zawirowania, jeśli chodzi o funkcjonowanie klubu. W ostatnim czasie nie mówiło się o aspektach sportowych, tylko organizacyjnych. W pewnym momencie piłka nożna tak naprawdę zeszła na boczny tor. W zakończonej rundzie jesiennej zajęliśmy ósme miejsce – i o dziwo – nie spadła na nas fala krytyki. Mówiło się tylko o tym, kto przejmie Pogoń Szczecin. Przez słabą jesień straciliśmy dużo punktów do podium, ale później udało nam się nawiązać rywalizację. Runda wiosenna w naszym wykonaniu pokazała, że mamy duże umiejętności i spokojną pracą możemy walczyć o wyższe cele niż środek tabeli. Cieszymy się wszyscy, że sytuacja w klubie została unormowana, a my możemy skupić się tylko na graniu w piłkę. To jest teraz najważniejsze.

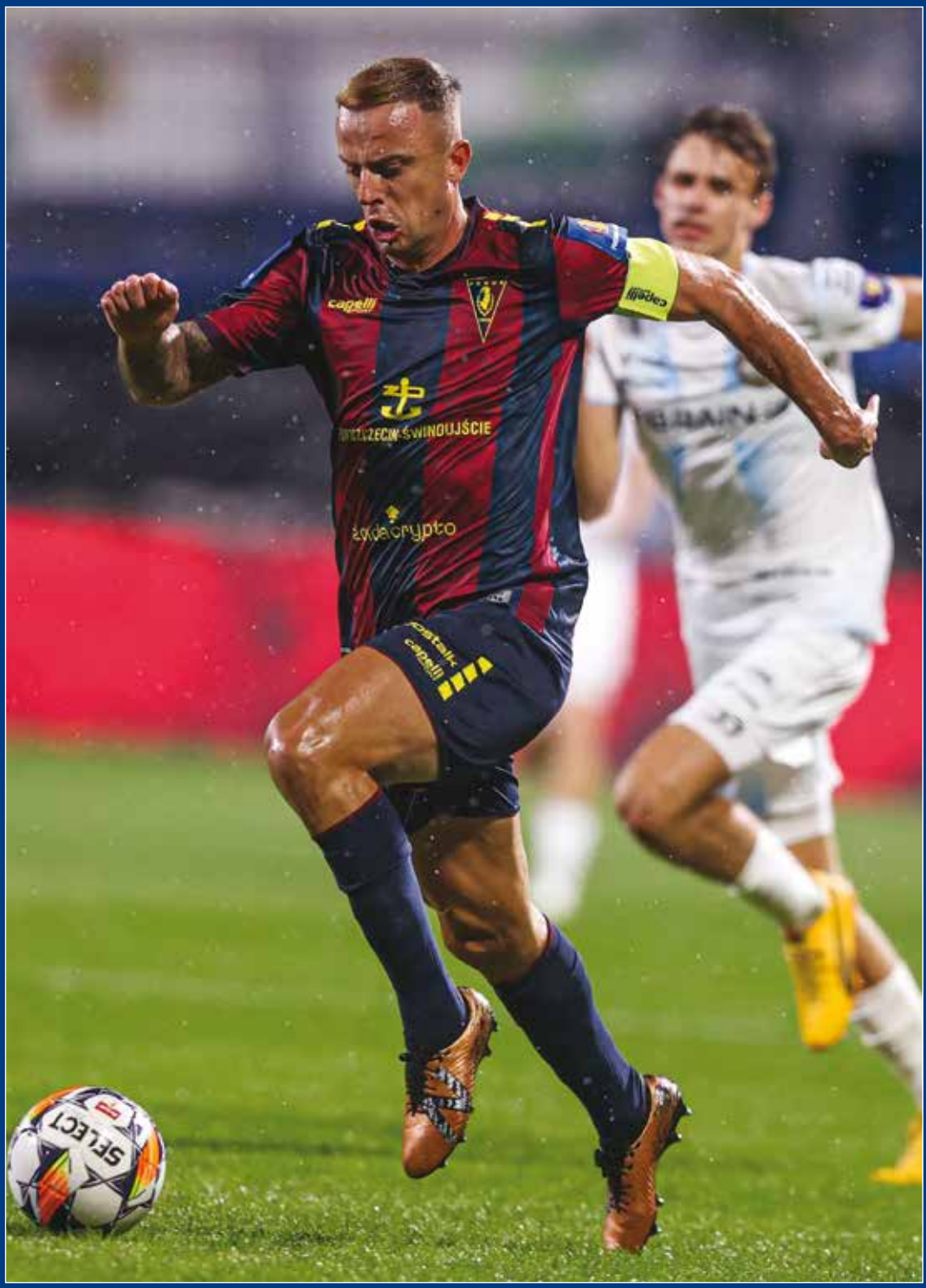
Zainteresowanie meczem Pogoni Szczecin z Legią Warszawa jest gigantyczne. Nie ma co ukrywać, że kibice obydwu klubów stworzą nieprawdopodobne widowisko.
Jestem przekonany, że kibice obydwu klubów stworzą niezapomnianą atmosferę na trybunach, a my, piłkarze, zaprezentujemy się z jak najlepszej strony. Chcę, aby o tym finale mówiło się przez bardzo długi czas. Dla takich chwil warto być piłkarzem, bo występ na PGE Narodowym, to naprawdę wielkie wydarzenie dla zawodnika. Nie każdy piłkarz może dostąpić tego zaszczytu. Koncentracja w meczu z Legią musi być na najwyższym poziomie. Nie możemy „przegrzać" się przed wyjściem na murawę, bo to nam w niczym nie pomoże. Jesteśmy doświadczeni finałem z ubiegłego roku i to może nam tylko pomóc.

Pogoń Szczecin jest piłkarsko i mentalnie silniejsza niż w ubiegłym roku?
Wydaje mi się, że tak. Tamten finał dał w kość naprawdę całej drużynie i ciągnęło się to za nami przez bardzo długi okres. Z każdej porażki można jednak coś wyciągnąć, bo to jednak jakieś doświadczenie, mimo że bolesne. Teraz każdy widzi, że znowu wszystko jest zależne od nas. Mam nadzieję, że tamten mecz z Wisłą Kraków dał nam kierunek, w jaki sposób rozegrać finał z Legią Warszawa. Wiadomo, że nasz przeciwnik to największy klub w Polsce, najbardziej utytułowany. Nie możemy się jednak obawiać samej nazwy „Legia". Często drużyny ponoszą klęskę przez to, że mówi się o tym, z kim grają. Szanuję przeciwnika, bo to mocny zespół, ale mamy też swoje marzenia. Jesteśmy o krok od czegoś wielkiego i wierzę, że rozegramy ten mecz bardzo dobrze zarówno nogami, jak i glową. Nie interesuje mnie piękna gra, nie jest istotne w jakich okolicznościach ten mecz będzie rozgrywany. Liczy się tylko wygranie tego finału.

W razie ewentualnej wygranej – czy będziesz mógł powiedzieć, że piłkarsko się spełniłeś? Będziesz mógł w końcu powiedzieć, że wypełniłeś swoją misję w Pogoni?
Na pewno, ale nie chcę kończyć przygody z piłką. Zamierzam dalej wyznaczać sobie cele i je realizować. Mam swoje lata, ale jestem wciąż zdrowy i piłka nożna sprawia mi bardzo dużą radość. Dobrze funkcjonuję z drużyną, a drużyna ze mną. Życie piłkarza jest piękne, ale krótkie, więc mam sporą satysfakcję, że mogę reprezentować barwy mojego ukochanego miasta, z którego się wywodzę i z którym się utożsamiam.

Na koniec – co przed finałem Pucharu Polski chciałbyś przekazać kibicom Pogoni Szczecin?
Chciałbym, abyśmy wszyscy – jako Pogoń Szczecin – byli dumni z tego, że kolejny raz możemy wystąpić w finale Pucharu Polski na PGE Narodowym, który jest symbolem polskiej piłki. Przed nami ostatni krok i razem, jako drużyna, kibice i cały klub, musimy zrobić wszystko, by spełnić nasze marzenie i wznieść to trofeum.

ROZMAWIAŁ
JACEK JANCZEWSKI


capelli
SELECT

„SZÓSTKA” JĘDRZEJCZYKA, CZYLI KOLEKCJONER TROFEÓW Z LEGII




FORTUNA PUCHAR POLSKI
adidas
FORTUNA
PUCHAR POLSKI
Królewskie

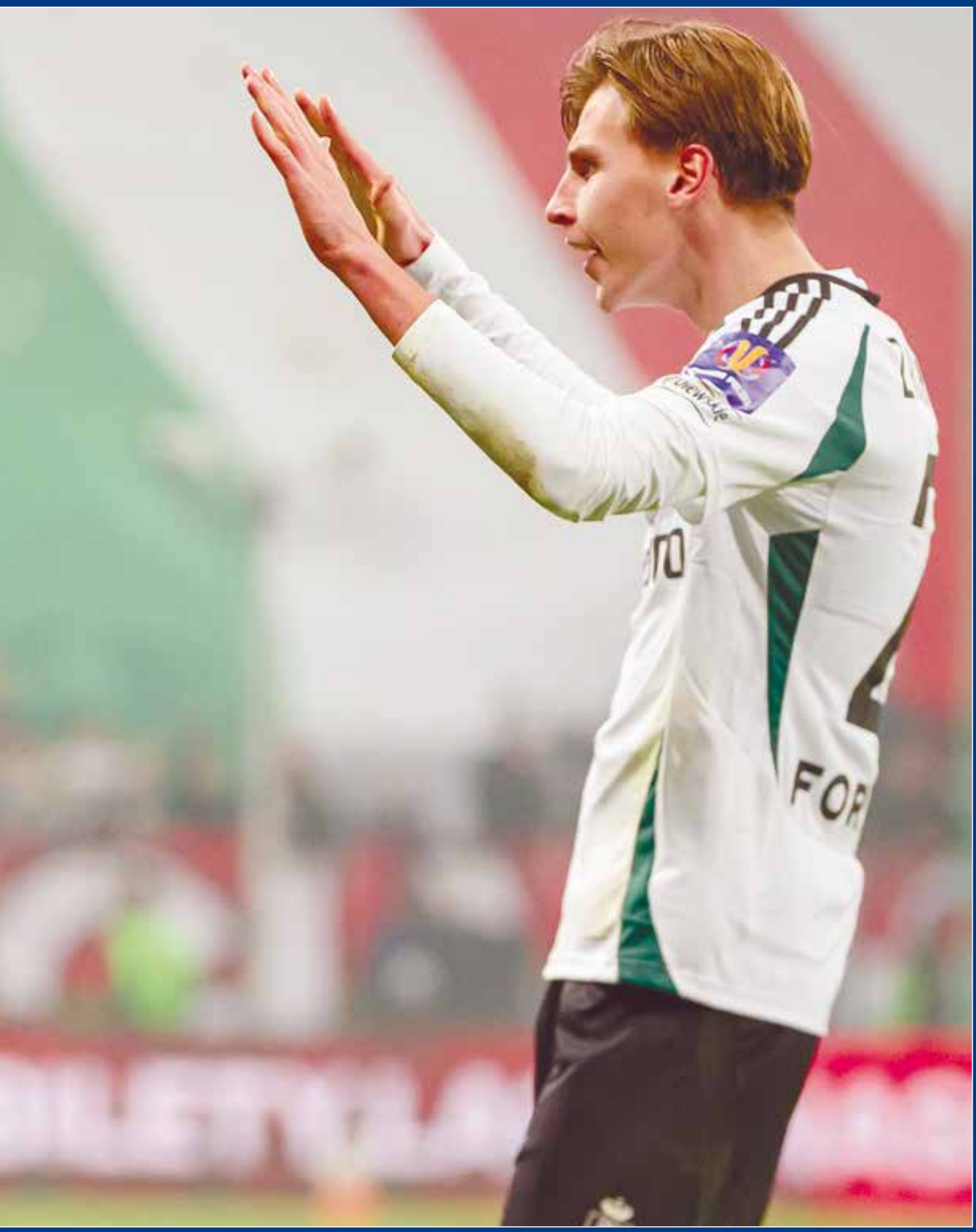
Sześć triumfów w Pucharze Polski i tyle samo mistrzostw kraju – osiągnięcia Artura Jędrzejczyka w Legii mogą robić wrażenie. Przypadek tego obrońcy, 41-krotnego reprezentanta Polski, podpowiada, żeby mówić o nim nie inaczej, jak kolekcjoner trofeów.



Trudno bowiem nie użyć określenia kolekcjoner, skoro Jędrzejczyk utożsamia sobą wszystko, co najlepsze wydarzyło się dla Legii w XXI wieku. Legia od 2000 roku do teraz wywalczyła osiem Pucharów Polski, z czego sześć z Jędrzejczykiem w składzie. Taka sytuacja miała miejsce w sezonach 2010/2011, 2011/2012, 2012/13, 2015/16, 2017/18 oraz 2022/23. Jedyne triumfy w finale krajowego pucharu drużyny z Warszawy bez Jędrzejczyka to lata 2008 i 2015. W pierwszym przypadku „Jędza" występował na wypożyczeniu w GKS Jastrzębie, w drugim był zawodnikiem rosyjskiego FK Krasnodar. 37-latek z Dębicy, skąd w wieku 19 lat trafił na Łazienkowską, miał czynny udział w niemal 1/3 wszystkich wygranych Legii w tych rozgrywkach. Legia zdobywała puchar 20-krotnie.

Jak został numerem jeden

Legia za czasów Jędrzejczyka jako jej piłkarza, grała w sześciu finałach i wszystkie wygrała. „Jędza" jest zatem prawdziwym talizmanem warszawskiej ekipy. Co prawda kilku zawodników Legii może się pochwalić stuprocentową





skutecznością w odniesieniu do gier w finałach i końcowymi triumfami, ale to Jędrzejczyk z nich wszystkich najczęściej grał w rundzie finałowej. Taką samą skuteczność ma jeszcze Michał Kucharczyk. Z piłkarzy z większą liczbą gier w finale Pucharu Polski jest przed Jędrzejczykiem tylko – nomen omen – też były legionista – Marek Jóźwiak. Jóźwiak cieszył się jednak z końcowego sukcesu jedynie w czterech z siedmiu przypadków. To wszystko pokazuje, że Jędrzejczyk-obrońca zasługuje na określenie „Pan Puchar Polski".

Mało tego, Jędrzejczyk trwale zapisał się w annałach warszawskiego klubu i to nie tylko z powodu Pucharu Polski. Z Legią wywalczył bowiem jeszcze sześć mistrzostw, zdobył do tego jeden Superpuchar Polski. – Dostałem informację, że jestem najbardziej utytułowanym legionistą i bardzo mnie to cieszy. Nie jest łatwo być na podium. Wykasowałem Kubę Rzeźniczaka. Nigdy nie miałem celu, żeby kogoś gonić i być na szczycie, ale to przyszło samo. Nie jest łatwo w polskiej lidze sięgnąć po tyle trofeów i to miłe. Jeszcze trochę tutaj będę i mogę to poprawić – mówił.

Rozdział kadry wcale nie taki krótki

Sięgając po Superpuchar, Jędrzejczyk poprawił wynik Rzeźniczaka o jedno zdobyte trofeum. Za nim na podium stołecznego klubu są, z jedenastoma wygranymi w różnych krajowych rozgrywkach, Kucharczyk, Radović oraz Jóźwiak. Tym samym pochodzący z Dębicy zawodnik stał się legendą klubu jeszcze w trakcie trwania kariery. A ta kariera nie była przecież skoncentrowana od początku do końca na warszawskim zespole, chociaż wielu kibiców zapewne na myśl o Jędrzejczyku, pierwsze co powie to „Legia". Z drugiej strony, czy można się temu dziwić? „Jędza" jest w TOP3 zawodników tego klubu pod względem liczby spotkań. Wynik Lucjana Brychczego (452) wcale nie wydaje się do przebicia przez niego pod warunkiem, że nadal będzie grał w Legii co najmniej sezon lub dwa i ominą go kontuzje oraz inne zawieszenia.

REKLAMA



BOK, ŚRODEK, ATAK? GDZIE JEST MIEJSCE ADRIANA PRZYBORKA?

Adrian Przyborek dopiero skończył 18 lat, a w seniorskiej karierze „obskoczył" już wszystkie ofensywne pozycje. Do Pogoni przebijał się jako skrzydłowy, w młodzieżowych reprezentacjach Polski pełniąc w tym czasie rolę wahadłowego. Potem w klubie częściej grał w środku pola, z kolei nowy selekcjoner kadry rocznika 2007 przesunął go do ataku. Wreszcie po ostatnim oknie transferowym i odejściu Wahana Biczachczjana do Legii „Przybor" znów biega bliżej linii bocznej.

Początkowo wydawało się, że Przyborek to materiał na odwróconego skrzydłowego. Gdy szedł na swój pierwszy trening w Sianowskiej Akademii Sportu, a było to w 2012 roku, prawonożni piłkarze atakujący z lewej strony boiska i lewonożni z prawej nikogo już nie dziwili. Ba, jedną z dwóch największych gwiazd futbolu był wtedy Cristiano Ronaldo, na którym chłopcy tacy jak Adrian się wzorowali.

Wkrótce za trendem „odwracania skrzydłowych" podążyła reprezentacja Polski. Przyborek nie miał prawa przypuszczać wtedy, że w pośredni sposób wpłynie to na... jego karierę. Ikoniczną wręcz postacią w tej roli stał się przecież dla naszej drużyny narodowej Kamil Grosicki, który – po powrocie do Pogoni latem 2021 roku – zabetonował w Szczecinie lewą stronę ataku. Wchodzący do drużyny z akademii „Portowców" nastolatek swojego miejsca musiał szukać więc na przeciwległym boku, choć sam jego ekstraklasowy debiut to zastąpienie „Grosika" na kilka ostatnich minut starcia z Wartą Poznań w lutym 2023 roku. Do końca sezonu 2022/23 „Przybor" zanotował jeszcze dwa wejścia z ławki, w obu przypadkach zmieniając na prawym skrzydle Marcela Wędrychowskiego. Na skrzydłach grał wtedy również w trzecioligowych rezerwach oraz sporadycznie w juniorach. W reprezentacji Polski swojego rocznika, w której prowadzący ją w okresie od sierpnia 2021 do czerwca 2024 trener Rafał Lasocki preferował ustawienie 1-3-5-2, był prawym wahadłowym. Na lewe wahadło przymierzał go natomiast Marcin Włodarski, który w październiku 2023 w meczach towarzyskich poprzedzających wysłanie powołań na mundial U-17 w Indonezji dla rocznika 2006 rozważał dokooptowanie do swojego zespołu zawodnika Pogoni.

W całym 2023 roku Przyborek rozegrał w PKO BP Ekstraklasie jedenaście meczów, w tym tylko

jeden w podstawowej jedenastce – 3 września z Zagłębiem w Lubinie. Gdy wchodził z ławki, to zwykle na kilka lub kilkanaście minut. Zmieniał skrzydłowych: Wędrychowskiego, Grosickiego, Biczachczjana, ale też napastników Lukę Zahovicia i Efthymiosa Kolourisa czy lewego obrońcę Leonardo Koutrisa. Za ten okres trudno go rzetelnie ocenić czy scharakteryzować, bo jego występy były przeważnie zadaniowe.

Pierwszy przełom w ekstraklasowej karierze Przyborka nastąpił w okresie przygotowawczym do rundy wiosennej sezonu 2023/24, po którym nastolatek stał się piłkarzem wyjściowego składu. Ale już nie jako skrzydłowy, a dziesiątka ustawiona za plecami Kolourisa, a przed wspierającymi go wymiennie Fredrikiem Ulvestadem, Joao Gamboą czy Rafałem Kurzawą. Do końca ligowych rozgrywek młody zawodnik jedenaście razy zagrał od początku, trzy razy jako rezerwowy i tylko raz przesiedział całe spotkanie na ławce.

W dobiciu do tak dużej liczby minut na boisku Przyborkowi w pewnym stopniu pomógł status młodzieżowca. Gdy na początku sezonu 2024/25 dobrą formę złapał starszy o cztery lata, ale wciąż mieszczący się w limicie wiekowym przepisu o młodzieżowcach Kacper Łukasiak, „Przybor" znów częściej zmieniał niż był zmieniany. Jesienią 2024 w podstawie zaczął pięć spotkań, z ławki wchodził dziewięciokrotnie, a cztery razy w ogóle nie zagrał. Przez trenera Roberta Kolendowicza ustawiany był zwykle w centrum boiska, a w międzyczasie nowy selekcjoner reprezentacji Polski U-18 Łukasz Sosin dostrzegł w nim potencjał na napastnika.

– Obecnie pełnię w kadrze rolę podwieszonej dziewiątki, więc te gole na pewno fajnie byłoby strzelać. Gdy grasz w ataku, to to jest twoje zadanie – mówił po listopadowym zgrupowaniu w Hiszpanii Przyborek. – Jestem wszechstronnym zawodnikiem. W Ekstraklasie zaczynałem na skrzydle, teraz jestem tak naprawdę ósemką, dziesiątką. W kadrze od tego sezonu jestem podwieszonym napastnikiem i odpowiada mi ta pozycja. Nie jestem typową dziewiątką. Mogę schodzić po piłkę głębiej, co bardzo lubię, a co dla przeciwników jest trudne do bronienia. Cofając się w głąb pola, uczestniczę w rozegraniu, mam wiele kontaktów z piłką. To poniekąd moja rola, aby umiejętnie dostosować się do stylu gry drugiego napastnika, żebyśmy razem dobrze współpracowali. Nie mam ulubionego typu napastnika, potrafię być elastyczny. Z wysokim i silnym napastnikiem, takim jak Adam Basse, z którym grałem w listopadzie, a który potrafi utrzymać się przy piłce, wygrywać pojedynki, czy przebić za siebie, ja nie muszę wykonywać tej roboty, mam inne zadania i myślę, że dobrze się uzupełniamy – rozwijał.



Na marcowym zgrupowaniu kadry U-18 Przyborka zabrakło, bo został powołany do starszej reprezentacji, by wspomóc ją w walce o awans do ME. Piłkarz Pogoni miał zastąpić kontuzjowanego Karola Borysa, czyli ofensywnego pomocnika, ale tuż przed wylotem do Gruzji z powodów osobistych sam musiał zrezygnować z udziału w kwalifikacjach. W połowie marca z tej samej

przyczyny ominęło go starcie z Cracovią. Był to jedyny mecz „Portowców" trwającej wiosny, w którym „Przybor" nie zagrał. We wcześniejszych sześciu w lidze długość jego występów nie spadała poniżej 80 minut, a w późniejszych trzech dwa razy wychodził w podstawowym składzie, a raz (z Piastem Gliwice) pojawił się na murawie tuż po przerwie. Pucharowe starcia z Piastem i Puszczą Niepołomice zaczynał jako gracz pierwszej jedenastki.



Drogę do regularnej gry w znacznie większym niż jesienią wymiarze czasowym otworzyło 18-latkowi odejście Wahana Biczachczjana do Legii. Reprezentant Armenii zwolnił miejsce na prawym skrzydle, a przekwalifikowany wcześniej na gracza środka pola Przyborek okazał się w oczach trenera Roberta Kolendowicza najlepszym kandydatem do zajęcia wakatu. Wychowanek SAS Sianów wrócił więc na bok, ale prezentuje się co najwyżej solidnie. A przecież oczekiwania względem niego systematycznie rosną. 48 meczów w PKO BP Ekstraklasie z dwoma golami i czterema asystami to jak na ofensywnego piłkarza dorobek mizerny, szczególnie gdy przyrównamy go do osiągnięć hasającego po drugiej stronie boiska wiecznie młodego Grosickiego.

18-latek nie wyróżnia się również w bardziej zaawansowanych statystykach, dotyczących dryblingów, rajdów progresywnych czy dośrodkowań. Jest przeciętnym ligowcem, co w kontekście jego wieku wcale nie musi być odbierane jako przytyk. Przyborek daje drużynie regularność, jest gwarantem pewnego przyzwoitego poziomu, poniżej którego nie zejdzie. Z drugiej strony trudno sobie przypomnieć mecz lub nawet pojedyncze zagranie, które by go jednoznacznie zdefiniowało. Jego dotychczasowe minimum i maksimum są względnie blisko siebie. „Przybor" operuje w pewnych wąskich ramach – w statystyce jego występy opisano by jako takie o niewielkim rozstępie.

Czy to dobrze? Cóż, jak na razie 18-latek jawi się jako piłkarz, którego bardziej docenią trenerzy niż spragnieni spektakularnych rajdów, precyzyjnych strzałów i efektownych dryblingów kibice. Funkcjonujący na poziomie ekstraklasowym już trzeci rok Przyborek to wciąż jeden z najmłodszych piłkarzy w lidze, a jego wiek daje mu jeszcze dodatkowy margines na rozgrywanie słabszych meczów. Tyle, że margines ten będzie się tylko kurczył. Być może zatem, wobec braku fantazji, typowej dla ofensywnych graczy bocznych sektorów boiska przebojowości, którą trudno będzie nabyć z wiekiem, dobrze zrobiłoby mu przypisanie do roli ósemki lub dziesiątki na stałe. W centrum łatwiej byłoby mu zamaskować pewne ograniczenia szybkościowe, a i futbolówkę znacznie częściej otrzymywałby tak jak lubi, czyli do nogi, a nie w przestrzeń. Miałby więcej okazji do zdobywania terenu podaniami zamiast biegiem. Popierając to jego wrodzoną inteligencją piłkarską, wizją gry i umiejętnością odnalezienia się w tłoku, wychodzi nam raczej materiał na playmakera, aniżeli „Grosika" w wersji 2.0.

JAN ZIÓŁKOWSKI – SKAZANY NA TRANSFER LUB REGULARNĄ GRĘ



Zapowiada, że nie odejdzie z Legii, dopóki nie wywalczy z nią trofeum. Dziś staje przed wielką szansą, by to uczynić, ale nawet w przypadku porażki z Pogonią spotkanie na PGE Narodowym może być dla niego jednym z ostatnich w barwach stołecznego klubu. Brak zwycięstwa i idąca z nim w parze nieobecność w rozgrywkach europejskich mogą zmusić Legię do sprzedania kilku piłkarzy. A Jan Ziółkowski jest jednym z tych z największym potencjałem sprzedażowym.


plus500



W swoich dotychczasowych klubach, Wichrze Kobyłka i Polonii Warszawa, Ziółkowski spędzał po cztery lata. Gdyby ta prawidłowość miała zostać zachowana, rosły obrońca zostałby w Legii jeszcze na przyszły sezon, po czym odszedłby za granicę, gdzie chętnych na jego usługi od dłuższego czasu nie brakuje. Niewykluczone jednak, że do transferu 19-latka dojdzie już najbliższego lata. Wiele zależy od tego, jak potoczy się dzisiejsza rywalizacja w finale Pucharu Polski.

W przypadku zwycięstwa warszawianie odetchną z ulgą, bo po pierwsze znów wsadzą do swojej gabloty trofeum, a po drugie zagwarantują sobie start w kwalifikacjach do europejskich pucharów i drogą skróconą w porównaniu do tej z obecnego sezonu będą mogli dostać się do fazy ligowej Ligi Europy lub przynajmniej Ligi Konferencji, co zapewniłoby im dodatkowe przychody. Jeśli jednak Legia z Pogonią przegra, przy Łazienkowskiej zrobi się gorąco, a wielce prawdopodobny brak gry w Europie (dostanie się do niej przez ligę wydaje się misją niemożliwą do zrealizowania) sprawi, że w klubie zaczną szukać sposobów na ratowanie budżetu. To zaś oznaczać będzie ograniczanie kadry i sprzedaż zawodników. A na kim można zarobić lepiej, niż na młodym, ambitnym i pewnym siebie nastolatku, wprost stworzonym do gry na newralgicznej pozycji?

Istnieje również drugi scenariusz, w którym to nie Ziółkowski, a inny środkowy obrońca – Steve Kapuadi – odchodzi z Legii, by spróbować swych sił w mocniejszej lidze. Wówczas juniorski reprezentant Polski awansowałby w hierarchii stoperów, stając się prawdopodobnie podstawowym zawodnikiem 20-krotnych triumfatorów Pucharu Polski. Znając podejście „Ziółka", trudno wyobrazić sobie, by po letnim okresie przygotowawczym łatwo pogodził się z rolą piłkarza „w rotacji", co w premierowym pełnym sezonie jeszcze akceptuje. – Są mecze, w których gram, a gdy potrzebny jest ktoś o innej charakterystyce, to gra ktoś inny. Chciałbym, żeby występów było więcej, ale sam chcę sobie na to zapracować. (...) Oczywiście, że byłem niezadowolony z tego, że nie gram, ale doceniam klasę piłkarzy grających na mojej pozycji. W tym okresie, gdy grałem mniej, mieliśmy serię dziesięciu meczów bez porażki, a do tego zmieniliśmy formację na czterech obrońców, więc jeden środkowy wypadł, a Pankov z Kapuadim prezentowali świetny poziom – mówił w kwietniu w rozmowie z serwisem Legia.Net.
Jeszcze rok temu wychowanek Wichru Kobyłka był przed debiutem w pierwszej drużynie Legii, choć trenował z nią już od przełomu 2022 i 2023 roku. Pod koniec sezonu 2023/24 zaliczył trzy ligowe mecze, a w trwającym, biorąc pod uwagę PKO BP Ekstraklasę, Puchar Polski i Ligę Konferencji, ma ich 20, z czego jednak tylko 8 pełnych. To niecodzienne proporcje u środkowych obrońców, które nie wpływają korzystnie na stabilizację formy. Szukając pozytywów, warto zwrócić uwagę, że większość 90-minutowych występów (5) Ziółkowski zaliczył już wiosną. Tendencja wydaje się optymistyczna i wpisuje w harmonijny rozwój obrońcy.
Jak na nastolatka Ziółkowski jest ponadprzeciętnie świadomym sportowcem. Duża w tym zasługa jego taty, który jest trenerem sportów walki i od najmłodszych lat wpajał synowi etos pracy typowy dla współczesnych gladiatorów. Janek zresztą sam sporo ćwiczył z ojcem, dzięki czemu, choć nie wygląda, jest dość silnym obrońcą. Udowodnił to zwłaszcza pod koniec lutego, gdy w ćwierćfinale Pucharu Polski doskonale radził sobie z Afimico Pululu. Tamto starcie z Jagiellonią Białystok, wygrane przez Legię 3:1, trzeba uznać za najlepsze w dotychczasowej karierze nastolatka i to nie tylko dlatego, że zdobył w nim bardzo ważną bramkę.
Gol strzelony Jadze przy pełnym stadionie na Łazienkowskiej miał dla Ziółkowskiego wyjątkową wartość, bo choć aż cztery sezony spędził w Polonii Warszawa, to od dziecka chodził na Legię, marząc o tym, by kiedyś w niej zagrać. – Gdy tam (w Polonii – przyp. red.) byłem, to nie przestałem być kibicem Legii. Jestem nim od dziecka, miałem nawet karnet, a wcześniej chodziłem na Żyletę. Chciałem zostać piłkarzem, a takich, którzy mają coś w sobie, ale w danym momencie jeszcze nie są na takim poziomie, żeby trafić na Łazienkowską, jest multum. Miałem wybór: albo zostaję w Wichrze, gdzie raczej nie mam żadnej szansy na wybicie się, albo idę do Polonii, która jest na poziomie centralnym – tłumaczył we wspomnianej rozmowie z Legia.Net.
Z inicjatywą transferu do akademii Polonii wyszedł Paweł Stańczuk, pierwszy trener Janka w Wichrze, a w przeszłości zawodnik juniorskich drużyn „Czarnych Koszul". Na Konwiktorskiej Stańczuka prowadził kiedyś trener Michał Libich, który w 2018 roku, gdy Kobyłka stała się dla Ziółkowskiego zbyt ciasna, opiekował się w Polonii rocznikiem 2005. Były podopieczny zwrócił uwagę Libicha na utalentowanego chłopca, który wkrótce otrzymał zaproszenie na testy i pomyślnie je przeszedł. – Zaprezentował się dobrze, ale to nie było nic spektakularnego. Obrońcom ciężej jest oczarować trenerów czy kibiców, znacznie łatwiej zrobić to niekonwencjonalnym dryblingiem czy strzelaniem goli. Po tym, jak popracowałem dłużej z Jankiem, stwierdziłem przy całej drużynie, a potem powtarzałem to w różnych wypowiedziach dla

mediów, że moim zdaniem on będzie grał kiedyś w Realu Madryt. Ma wszystkie cechy, by zajść daleko: jest bardzo inteligentny piłkarsko, doskonale przewiduje, ma świetne warunki fizyczne, jest sprawny i nastawiony na pracę. Nie dostrzegam tu rzeczy, które mogłyby go zahamować. Teraz kwestia, żeby w klubie na niego stawiali – mówi Michał Libich, który prowadził Janka w latach 2018-22.

Ziółkowski profilem od zawsze wpisywał się w środkowego obrońcę. W Polonii zdarzało mu się występować na boku obrony czy na szóstce, co miało go dodatkowo rozwijać, jednak sam zawodnik zawsze wolał swoją nominalną pozycję. I zawsze skupiał się przede wszystkim na sobie. – Trzeba wiedzieć, że on miał charakter, który w czasach juniorskich był dość trudny dla rówieśników. Zawsze pewny siebie, bardzo profesjonalny. A dzieciaki pewne kwestie postrzegają inaczej niż dorośli. Dlatego gdy w 2021 roku po raz pierwszy zgłosiła się po niego Legia, wiedziałem, że to nie jest dla niego dobry moment na odejście. Miał iść do juniorów, a z jego podejściem paradoksalnie łatwiej byłoby mu w seniorach, gdzie swoją postawą zyskałby szacunek – uważa Libich. – Po zakończeniu ligi w sezonie 2020/21 na jeden z treningów Janek przyszedł w towarzystwie taty i nie był przebrany w strój sportowy. Wiedziałem już, że coś się święci. Usłyszałem od nich, że jutro podpisują kontrakt z Legią, gdzie w nowym sezonie chłopak będzie grał w zespole U-17, czyli ze swoimi rówieśnikami. Zacząłem ich przekonywać, że to nie jest dobry pomysł. Że gdyby to była propozycja przejścia do drugiej drużyny, to sam bym temu przyklasnął. Ale w innym wypadku, nie miało to większego sensu, bo u nas Janek był kapitanem i miał na sobie większą odpowiedzialność. To, co wtedy zapowiedziałem, sprawdziło się co do joty. Powiedziałem mu, że za rok pójdzie do Legii, ale do drugiej drużyny, z szansami na treningi z pierwszą. I rzeczywiście latem 2022 trafił na Łazienkowską, a w sierpniu już debiutował w Pucharze Polski w „dwójce" – mówi były trener Ziółkowskiego.

Po kilkunastominutowym pucharowym występie przeciwko Wiśle Kraków (0:5) do początku października 2022 Ziółkowski grał jeszcze w CLJ U-19, ale potem już tylko sporadycznie wspierał juniorów. Do końca sezonu 2022/23 zanotował szesnaście występów i jednego gola w trzeciej lidze, a w międzyczasie rozpoczął treningi w zespole Kosty Runjaicia. W sezonie 2023/24 znajdował się na pograniczu pierwszej drużyny i rezerw, w których tym razem zagrał 22 razy w lidze (jeden gol) i dwa razy w Pucharze Polski. W maju 2024, gdy trenerem Legii od kilku tygodni był Goncalo Feio, niespełna 19-letni wtedy obrońca zadebiutował w PKO BP Ekstraklasie, symbolicznie zmieniając w trakcie spotkania z Radomiakiem (0:3) Artura Jędrzejczyka. W następnej kolejce przeciwko Lechowi Poznań „Ziółek" nie zagrał, ale już w dwóch ostatnich kolejkach, w których rywalami Legii były Warta Poznań i Zagłębie Lubin, zaliczył pełne występy i po raz pierwszy został wybrany do jedenastki kolejki.

Trwający sezon pod kątem czasu spędzonego na murawie układa się dla Ziółkowskiego w kratkę. W pierwszych czterech kolejkach ligowych zagrał od pierwszej minuty, potem wystąpił jeszcze na początku września z Motorem Lublin i na dłuższy czas zasiadł na ławce. Plotkowano, że to ze względu na odwlekanie złożenia podpisu pod nową umową. Nie wiemy, jaka była prawda, ale fakty są takie, że do końca 2024 roku 19-latek nie wyszedł już ani razu w podstawowym składzie, a z ławki podnosił się zaledwie pięciokrotnie: trzy razy w lidze i dwa w Lidze Konferencji. Do wyjściowej jedenastki wrócił w połowie lutego, zagrał z Puszczą Niepołomice i Radomiakiem, a po kilku dniach od bardzo słabego meczu w Radomiu zaliczył ten do zapamiętania – przeciwko Jagiellonii w PP. W podstawie zaczynał jeszcze mecze z Molde, Motorem i Górnikiem Zabrze, a w rewanżu z Norwe-



gami i w półfinale PP z Ruchem wchodził jako rezerwowy.

Wychowany w erze hurtowo zdobywanych przez ukochaną Legię tytułów Ziółkowski za punkt honoru obrał sobie dorzucenie swojej cegiełki do co najmniej jednego kolejnego trofeum. Bez niego jego pobyt w klubie będzie niepełny. – Chcę się zapisać w bogatej historii klubu i mieć na swoim koncie trofeum. Mam nadzieję, że uda się w tym roku w Pucharze Polski. Finał to jest tylko jeden mecz, w teorii wszystko może się wydarzyć. Ale my w rozgrywkach pucharowych dojeżdżamy i dobrze przygotujemy się na to spotkanie. Oczywiście wiemy, jak ważny to będzie mecz w kontekście tego i przyszłego sezonu. Duża część zawodników ma doświadczenie w takich sytuacjach. Mam nadzieję, że wygramy. Mocno w to wierzę – zapowiadał niedawno na łamach Legia.Net.





DO PIĘCIU RAZY SZTUKA?

„Portowcy” dotychczas podchodzili do finału Pucharu Polski czterokrotnie i wszystkie próby kończyły się niepowodzeniem. Ostatnia miała miejsce rok temu, gdy lepsza w finale okazała się pierwszoligowa Wisła Kraków. Czy wobec tego piątka okaże się szczęśliwa do Pogoni? I czy jej piłkarze zagrają właśnie na „piątkę”?



Trzy podejścia „Portowców" po krajowy puchar łączył jeden wspólny mianownik – czyste konto po stronie... zysków. Chodzi naturalnie o gole strzelone przez piłkarzy w granatowo-bordowych trykotach. Ani w dwóch z rzędu finałach z początku lat 80., ani w tym z 2010 roku, Pogoń nie była w stanie zdobyć bramki. Co więcej, wszystkie te mecze przegrała po 0:1. Różniło je natomiast to, że za każdym razem szczecinianie mierzyli się z innym przeciwnikiem.

Podejście nr 1, czyli Legia

Finał numer jeden odbył się 24 czerwca 1981 roku w Kaliszu, na stadionie miejscowego KKS. Dla Pogoni samo dotarcie do decydującego etapu Pucharu Polski było już ogromnym osiągnięciem. „Granatowo-bordowi" występowali wówczas w II lidze (obecnie 1. liga), ale sezon 1980/81 zakończyli na 1. miejscu w tabeli grupy I (wtedy obowiązywał podział na dwie grupy), co dało im awans do I ligi (Ekstraklasa). W finale rywalem Pogoni była – tak jak teraz – warszawska Legia. Spotkanie trwało 120 minut, bo w regulaminowym czasie padł bezbramkowy remis. Gdy wydawało się, że do wyłonienia zwycięzcy potrzebne będą rzuty karne, bramkę dla „Wojskowych" zdobył Adam Topolski. Na odrobienie strat czasu szczecinianom już zabrakło. Ówczesny trener Legii, Ignacy Ordon, nie mógł się nachwalić piłkarzy ze Szczecina. Jego zdaniem „Portowcy" zagrali ambitnie, walecznie, ale w ostatecznym rozrachunku zatriumfowała rutyna jego zawodników. W składzie Pogoni wystąpiło tego dnia kilku graczy, których dziś określić możemy mianem



klubowych legend – na czele z Zenonem Kasztelanem, Markiem Szczechem (wszedł z ławki) czy Leszkiem Wolskim.

Podejście nr 2, czyli Lech

Rok później portowa jedenastka ponownie znalazła się w wielkim finale. O końcowy triumf w Pucharze Polski Pogoni przyszło rywalizować z Lechem Poznań, który zakończył ligowe rozgrywki dopiero na 11. pozycji, podczas gdy szczecinianie, jako beniaminek, uplasowali się na wysokim, 6. miejscu. Nawet w dwumeczu z „Kolejorzem" zespół „Portowców" okazał się lepszy – w Poznaniu wygrał 1:0, a w Szczecinie zremisował 1:1.

Spotkanie finałowe rozegrano 19 maja 1982 roku we Wrocławiu, choć pierwotnie miało się ono odbyć... tydzień wcześniej, w dodatku nie w stolicy Dolnego Śląska, a w Warszawie, na Stadionie Wojska Polskiego. Zdecydowano się jednak zmienić pierwotną lokalizację z dwóch powodów: politycznych i kibicowskich. W Polsce od 13 grudnia 1981 r. generał Wojciech Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Władze obawiały się, że w stolicy mogłoby dojść do manifestacji ludności oraz starć pomiędzy zwaśnionymi kibicami Legii (zaprzyjaźnionymi z fanami Pogoni) oraz Lecha. Wszyscy mieli jeszcze w pamięci wydarzenia sprzed dwóch lat – w finale Pucharu Polski w Częstochowie, gdy te drużyny walczyły o trofeum. Ostatecznie więc konfrontację „Portowców" z „Kolejorzem" rozegrano na dawnym obiekcie Śląska przy ulicy Oporowskiej we Wrocławiu.

Drugie podejście pod krajowy puchar szczecinianom ponownie się nie powiodło. O ich porażce 0:1 przesądziło trafienie Mirosława Okońskiego z pierwszej połowy. W drużynie Pogoni wystąpiło kilku piłkarzy, którzy doskonale pamiętali przegrany rok wcześniej finał z Legią Warszawa. W jej składzie zagrały też inne znane postacie rodzimego futbolu, jak np. Marek Ostrowski (37-krotny reprezentant Polski, uczestnik MŚ 1986) i Kazimierz Sokołowski.

W tym miejscu należy też wspomnieć o osobie ówczesnego trenera Pogoni. Wiąże się z nim pewna ciekawostka. Oba finałowe niepowodzenia szczecińskiej drużyny z początku lat 80. miały miejsce, gdy prowadził ją Jerzy Kopa. Ów szkoleniowiec trafił do Pogoni z... Lecha, a gdy w 1982 roku opuszczał klub z Grodu Gryfa, jego następnym pracodawcą została... Legia. Spinał więc klamrą nie tylko same wydarzenia, ale również rywali „Portowców".

Podejście nr 3, czyli Jagiellonia

Kibice ze stolicy województwa zachodnio-pomorskiego nie spodziewali się raczej, że na kolejny występ Pogoni w finale przyjdzie im czekać „całe wieki". W gronie dwóch najlepszych drużyn Pucharu Polski szczecinianie znaleźli się ponownie dopiero... 28 lat później. I co ciekawe, podobnie jak przy pierwszym podejściu, tak i teraz, grali na zapleczu Ekstraklasy. Z tą jednak różnicą, że tym razem nie cieszyli się z awansu na najwyższy

szczebel rozgrywkowy (zakończyli zmagania na 5. pozycji).
Finał odbył się 22 maja 2010 roku na stadionie Zawiszy w Bydgoszczy. Rywalem Pogoni była 11. ekipa Ekstraklasy – Jagiellonia Białystok. Aby w ogóle stanąć do walki z zespołem z Podlasia, piłkarze z Grodu Gryfa musieli pokonać długą drogę, bo do rywalizacji przystąpili już w rundzie przedwstępnej. Rozegrali aż dziewięć spotkań, a wieńczącym dzieło – dziesiątym – była potyczka z „Jagą". Ale i tym razem to przeciwnik cieszył się z wywalczenia trofeum. Kolejny raz też o porażce przesądził jeden gol (w 49. minucie strzelił go Andrius Skerla).
Najbardziej znanymi piłkarzami Pogoni z tamtego finału byli: Radosław Janukiewicz (wielokrotnie ratował zespół od utraty bramki), Olgierd Moskalewicz czy Marcin Bojarski. Trenerem był natomiast Piotr Mandrysz, niegdyś zawodnik tej drużyny.
Smaczku rywalizacji dodawała osoba Kamila Grosickiego. Wychowanek Pogoni, który nigdy nie krył miłości do tego klubu, przywdziewał wówczas barwy Jagiellonii prowadzonej przez obecnego selekcjonera reprezentacji Polski Michała Probierza.

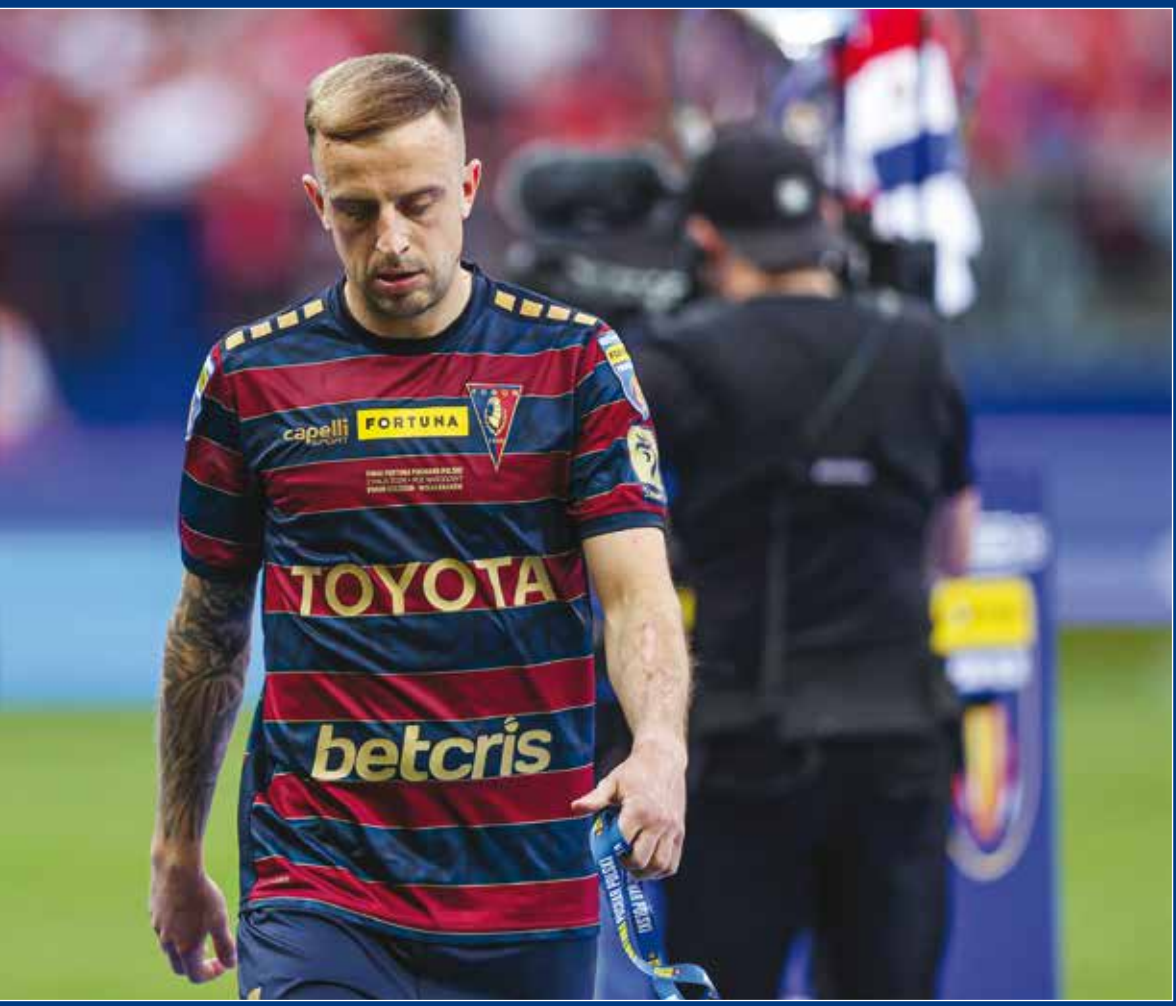
Podejście nr 4, czyli Wisła

Pogoń po raz czwarty w historii znalazła się w finale krajowego pucharu czternaście lat później, a wspomniany wcześniej Grosicki był jej zawodnikiem. Teraz to ją uznawano za zdecydowanego faworyta. Nie bez powodu, gdyż to ona reprezentowała PKO BP Ekstraklasę i mierzyła się z pierwszoligową Wisłą Kraków, dla której celem numer jeden była walka o miejsce dające prawo startu w ligowych barażach.
2 maja 2024 roku na PGE Narodowym w Warszawie różnicy poziomów nie było widać, a kibice obu ekip stworzyli niesamowitą atmosferę. Choć „Portowcy" grali nerwowo i pozwalali rywalom na zbyt wiele, to oni jako pierwsi strzelili gola. Zdobywcą historycznej, premierowej bramki dla Pogoni w finale Pucharu Polski był Efthymis Koulouris.
Wówczas nic nie wskazywało na to, by zespół ze Szczecina miał nie sięgnąć po swój pierwszy Puchar Polski. Ale nadeszła 8. minuta doliczonego czasu gry. Wtedy piłkarze i kibice Pogoni przeżyli prawdziwy horror. Do wyrównania doprowadził Eneko Satrústegui, a to oznaczało dogrywkę. Gdy już na jej początku do siatki trafił kolejny z wiślaków – Ángel Rodado, szczecinianie nie zdołali się podnieść. Trofeum powędrowało do Krakowa.



Podejście nr 5, czyli... ponownie Legia

Rok od tamtych wydarzeń Pogoń znów ma okazję powalczyć o Puchar Polski. Teraz jednak rywal jest



znacznie bardziej wymagający, bo szczecinianom przyjdzie zmierzyć się z warszawską Legią. Dla obu drużyn jest to mecz z gatunku „być albo nie być" w europejskich pucharach, gdyż szanse na zajęcie przez którąś z nich miejsca na ligowym podium zdają się być coraz mniej prawdopodobne (choć nie niemożliwe).

Można powiedzieć, że 2 maja 2025 roku historia dla „Portowców" zatoczyła koło, bo z „Wojskowymi" rywalizowali przecież w swoim premierowym występie w finale Pucharu Polski w 1981 roku. Wtedy było to spotkanie przyjaźni pomiędzy sympatykami obu zespołów. Po latach wiele się w tej kwestii zmieniło. Ich drogi rozeszły się pod koniec września 2013 roku, i taki stan rzeczy trwa do dziś. W finale w stolicy nie będzie więc wspólnego dopingowania piłkarzy jednej i drugiej drużyny. Każda z grup kibicowskich skupi się na swoim zespole. Fani Pogoni, jak i jej gracze, pragnęliby zdobyć Puchar Polski, by klubowa gablota w Szczecinie przestała świecić pustkami. A może właśnie – do pięciu razy sztuka? Może to jest ten moment, to jest ta chwila? W końcu – jak ujął to niegdyś w transmisji jeden z komentatorów sportowych – „Jak nie teraz, to kiedy? Jak nie tu, to gdzie?".

ADRIAN WOŹNIAK



PUCHAR JEST NASZ



W twórczości stadionowych „wodzirejów” są przyśpiewki, które idealnie wpisują się w historię klubu. Tak jest w przypadku Legii Warszawa – rekordzisty pod względem zdobytych Pucharów Polski. A przyśpiewka fanów „Wojskowych” „Puchar jest nasz!” jest w tym przypadku w pełni uzasadniona.

2 maja na PGE Narodowym stołeczna drużyna zagra w finale Pucharu Polski po raz 27. w historii. Na 26 poprzednich prób „Wojskowi" zwycięsko wychodzili z aż dwadzieścia razy! Żadna drużyna nawet nie zbliżyła się do tego osiągnięcia. Drugi w klasyfikacji Górnik Zabrze ma na koncie siedem finałów i sześć triumfów. Jednym słowem – przepaść. A wszystko zaczęło się w latach 50. ubiegłego wieku.

Lata 50.

Po zakończeniu II wojny światowej i nastaniu Polski Ludowej, wielu klubom piłkarskim nowa władza, ściśle podporządkowana Kremlowi, zmieniła dotychczasowe nazwy. I tak założona w 1916 roku Legia stała się na pewien czas CWKS-em Warszawa. W latach 50. drużyna o tej nazwie dwukrotnie sięgnęła po Puchar Polski. Pierwsze podejście – w 1952 r. – zakończyło się falstartem. Drużyna z Łazienkowskiej uległa Kolejarzowi Warszawa (0:1), czyli de facto – Polonii. I tu należy się małe wyjaśnienie. Do finału dotarły rezerwy „Wojskowych", a pierwszy zespół odpadł w V rundzie. Podejścia numer 2 i 3 były już bardzo udane dla Legii. W 1955 r. CWKS rozgromił Budowlanych Gdańsk – czyli dzisiejszą Lechię – aż 5:0. Rok później warszawianie nie dali z kolei szans Górnikowi Zabrze, ogrywając go 3:0.

Lata 60.

W lipcu 1957 r. Legia znów stała się... Legią, ale na kolejny triumf w Pucharze Polski musiała poczekać prawie do połowy lat 60. Po raz trzeci triumfowała w tych rozgrywkach w 1964 roku. W decydującym spotkaniu „Wojskowi" zmierzyli się w stolicy z bytomską Polonią. Mecz na Stadionie Dziesięciolecia zakończył się wygraną Legii 2:1, ale do wyłonienia zwycięzcy potrzebna była dogrywka. Dwa lata później finał Pucharu Polski odbył się na Stadionie im. Edmunda Szyca w Poznaniu, zwanym też Stadionem im. 22 lipca. Legia podejmowała w nim zabrzańskiego Górnika. I znów okazała się lepsza od drużyny z Górnego Śląska, wygrywając – także po dogrywce – 2:1. Tak jak w latach 50., bilans udziału w finałach i końcowych triumfów „Wojskowych" wynosił trzy do dwóch. Trzecie podejście zakończyło się niepowodzeniem. W 1969 r. Górnik zrewanżował się legionistom i wygrał 2:0 na obiekcie ŁKS-u w Łodzi.

Lata 70.

W latach 70. Legia dołożyła do gabloty tylko jeden krajowy puchar. Najpierw jednak,



w 1972 roku, ponownie musiała uznać wyższość zabrzan. Górnik rozbił „Wojskowych" aż 5:2 na stadionie ŁKS-u. Już rok później piłkarze z Warszawy mogli świętować. Szczęśliwy okazał się dla nich obiekt w Poznaniu, na którym siedem lat wcześniej ograli górniczą jedenastkę. Teraz naprzeciw Legii stanęła Polonia Bytom. Przez całe 90 minut i dogrywkę kibice nie obejrzeli żadnej bramki.

O zwycięstwie Legii 4:2 przesądziła seria rzutów karnych.

Lata 80.

Aż trzy trofea legioniści dorzucili do kolekcji w latach 80. Dwa z nich na samym ich początku. W 1980 roku Legia w efektowny sposób rozprawiła się w Częstochowie z Lechem, wygrywając aż 5:0. Mecz ten odbywał się w bardzo nerwowej atmosferze. Jeszcze przed jego rozpoczęciem doszło do starć pomiędzy zwaśnionymi kibicami. Długo nie było



wiadomo, czy finał w ogóle uda się rozegrać. Ostatecznie uznano, że odwołanie spotkania mogłoby doprowadzić do kolejnych rozrób. Rok później nie oglądaliśmy już takich obrazków, bo finałowym rywalem Legii była Pogoń Szczecin, z kibicami której przyjaźnili się fani z Warszawy. Mecz odbył się we Wrocławiu, choć pierwotnie areną zmagań miał być Stadion Wojska Polskiego. W stolicy Dolnego Śląska triumfowała Legia, która pokonała „Portowców" 1:0, po golu strzelonym w końcowych fragmentach dogrywki. Był to siódmy Puchar Polski wywalczony przez „Wojskowych".

Ósmego trofeum nie udało się zdobyć w 1988 roku. Wówczas rewanż na legionistach za porażkę sprzed ośmiu lat wzięli lechici. Dla Legii znów niegościnna okazała się Łódź, choć tym razem finał rozgrywano na stadionie Widzewa. „Kolejorz" wygrał w serii rzutów karnych 3:2 (po dogrywce było 1:1). Co nie udało się legionistom w Mieście Włókniarzy, powiodło się rok później w stolicy Warmii i Mazur – Olsztynie. Na obiekcie Stomilu „Wojskowi" nie dali szans Jagiellonii Białystok. Wygrali pewnie 5:2 i po raz ósmy wznieśli okazały puchar.

Lata 90.

Jeszcze lepsze w pucharowe zdobycze były dla Legii lata 90. Coraz częściej dało się słyszeć stadionową przyśpiewkę stołecznych fanów: „Puchar jest nasz, ten puchar do Legii należy. Nie damy nikomu, nie damy nikomu, bo puchar do Legii należy!". I faktycznie, nie dawali. Owszem, piłkarzom „Wojskowych" zdarzały się wpadki, ale w ogólnym bilansie, to oni byli na piedestale. Na pięć udziałów w finale, tylko raz górą byli przeciwnicy.

Zaczęło się od triumfu. W 1990 roku warszawski zespół mierzył się z GKS-em Katowice. Teraz Łódź była już dla nich szczęśliwsza, a konkretnie – obiekt Widzewa. Legia wygrała 2:0 i sięgnęła po dziewiąty Puchar Polski w swojej historii. Rok później nadarzyła się okazja, aby świętować jubileusz. Okoliczności były sprzyjające. Finał grano w końcu na Stadionie Wojska Polskiego, czyli domowym obiekcie Legii. Jednak po ostatnim gwizdku fety nie było, bo legionistom święto postanowili zepsuć... katowiczanie. GieKSa wzięła rewanż za porażkę sprzed roku i wygrała na Łazienkowskiej 1:0.



Ale – jak to mówią – co się odwlecze, to nie uciecze. Dziesiąty w historii Puchar Polski „Wojskowi" wywalczyli dwa lata później. I to na swoim terenie. Finałowe spotkanie z ŁKS-em Łódź gospodarze rozstrzygnęli na swoją korzyść, zwyciężając 2:0. Lata 90. piłkarze ze stolicy kończyli z łącznym dorobkiem dwunastu krajowych pucharów. W 1995 roku finał ponownie odbył się na Stadionie Wojska Polskiego. W nim legioniści okazali się lepsi od katowickiego GKS-u (2:0). Dwa lata później znów skonfrontowali się z GieKSą, lecz tym razem areną zmagań był obiekt ŁKS-u. Nie przeszkodziło to „Wojskowym" jeszcze raz ograć katowiczan (2:0).

Lata 2000.

Prawdziwy wysyp pucharowych skalpów w wykonaniu graczy Legii nastąpił w latach 2000. Łupem stołecznego zespołu padło aż osiem Pucharów Polski! Nadmienić jednak wypada, że początki XXI wieku nie były zbytnio udane. Do finału udało się dotrzeć dopiero w 2004 roku, po siedmioletniej przerwie. O tym, kto zdobędzie trofeum decydował wtedy dwumecz. Rywalem „Wojskowych" był poznański Lech. Starcie numer 1 przy Bułgarskiej wygrali gospodarze 2:0. W rewanżu w Warszawie było 1:0 dla Legii.

Na kolejny udział w finale Pucharu Polski – tym razem zwycięski – legioniści czekali cztery lata. W 2008 roku sięgnęli po to trofeum po meczu z krakowską Wisłą. Przez 120 minut gry kibice na stadionie GKS-u Bełchatów nie doczekali się goli. O wszystkim decydowały karne, a te lepiej egzekwowali warszawianie, którzy wygrali 4:3.

Gdy trzy lata później Legia zameldowała się w finale, znów musiała bić się o puchar w serii „jedenastek". Na obiekcie Zawiszy w Bydgoszczy doszło do starcia z odwiecznym rywalem – Lechem Poznań. W regulaminowym czasie

i dogrywce było 1:1, a rzuty karne zakończyły się zwycięstwem graczy z Warszawy (5:4). Każdy kolejny finał, do którego drużyna ze stolicy się kwalifikowała, rozstrzygała na swoją korzyść. Takich przypadków było jeszcze sześć. W 2012 roku Legia pokonała bez większych problemów w Kielcach chorzowski Ruch 3:0. Był to jej piętnasty triumf w rozgrywkach.

Rok później też była w finale, w którym zmierzyła się w dwumeczu ze Śląskiem Wrocław. We Wrocławiu drużyna z Warszawy zwyciężyła 2:0, a u siebie przegrała 0:1. Był to ostatni taki przypadek, aby triumfatora wyłaniano w ten sposób. Nie była to jedyna zmiana. Ustalono wówczas, że od sezonu 2013/2014 stałym miejscem rozgrywania finału Pucharu Polski będzie PGE Narodowy w Warszawie. Dla Legii stołeczny obiekt był jak dotąd bardzo szczęśliwy. „Wojskowi" grali na nim czterokrotnie, za każdym razem schodząc z boiska w roli zwycięzcy. W latach 2015-2016 dwa razy ograli Lecha (2:1 i 1:0), a w 2018 roku w pokonanym polu pozostawili Arkę Gdynia (2:1). Sięgnęli wtedy po swój dziewiętnasty Puchar Polski. Na jubileuszowe, dwudzieste trofeum stołeczny zespół musiał jednak trochę poczekać. Do finału Legii udało się awansować dopiero pięć lat później. I 2 maja 2023 roku dokonali rzeczy – wydawałoby się – niemożliwej. Na PGE Narodowym zmierzyli się z Rakowem Częstochowa. Spotkanie nie przebiegało po myśli legionistów, którzy już od 6. minuty grali w dziesiątkę (czerwona kartka dla Yuriego Ribeiro). Skupiona na... „obronie Częstochowy" Legia dotrwała do rzutów karnych, i wygrała w nich 6:5! Stołeczni fani mogli więc odśpiewać swoją pieśń: „Puchar jest nasz!". Czy 2 maja 2025 roku znów wybrzmi ona z tysięcy gardeł sympatyków „Wojskowych"?

ADRIAN WOŹNIAK



OBYŁO SIĘ BEZ KARNYCH. DROGA POGONI SZCZECIN DO WIELKIEGO FINAŁU



Dwie dogrywki, dwa razy po 3:0 i niesamowity thriller z siedmioma golami – tak grała do tej pory Pogoń w tej edycji Pucharu Polski. Bohaterem „Portowców" był Kamil Grosicki, który strzelał, asystował oraz rozgrywał akcje, dające gole i awanse. Zespół ze Szczecina trafiał do siatki rywali trzynaście razy, tracąc gole tylko w jednym meczu i jak do tej pory, obywało się bez rzutów karnych.



Zaczęło się od koncertu

W pierwszej rundzie rozgrywek Pogoń zagrała koncert w Rzeszowie. „Portowcy" zmagania w Pucharze Polski rozpoczęli strzałem w poprzeczkę Kamila Grosickiego. Atakowali z rozmachem, pasją i po 24 minutach wyszli na prowadzenie po pięknej asyście Grosickiego i jeszcze piękniejszym strzale Rafała Kurzawy. Drugą część meczu, w opadach deszczu, Pogoń rozpoczęła od huraganowych ataków, ale strzegący bramki Stali Jakub Raciniewski, wraz z obrońcami, dokonywali niebywałych rzeczy w defensywie. Gospodarze wytrzymali napór, ruszyli do ataku i przez kilka minut w grze gości zaczęły pojawiać się błędy. Blisko było nawet trafienia samobójczego, ale na szczęście Pogoni piłka tylko odbiła się od poprzeczki. Zadyszka trwała jednak tylko chwilę. W 70. minucie Grosicki znów zanotował asystę, którą na gola zamienił Efthymis Koulouris, a kwadrans później było już 3:0. Wahan Biczachczjan pozazdrościł Kurzawie efektownego trafienia i przymierzył zza pola karnego. Pogoń od początku zasygnalizowała pucharowe aspiracje i zebrała od swoich kibiców zasłużone brawa.

Przejdziem Odrę

Po kolejny awans Pogoń pojechała do Opola, ale tym razem walka trwała do ostatnich minut... dogrywki. Szczecinianie rozpoczęli podobnie. Z tą różnicą, że na otwarcie Grosicki nie trafił w poprzeczkę, tylko w słupek. Później kibice oglądali mecz do jednej bramki, która jednak ostatecznie nie padła w ciągu w regulaminowym czasie gry. Pogoń atakowała, strzelała, ale była nieskuteczna i mogła zapłacić za to wysoką cenę. Dopiero w dogrywce strzał na bramkę Odry dał Pogoni upragniony awans. Mężem opatrznościowym znów okazał się Kamil Grosicki, który do dwóch pucharowych asyst tym razem dołożył gola.

Thriller w Szczecinie

Gdy los skojarzył Pogoń z Zagłębiem Lubin, niewielu spodziewało się tak dramatycznego




zondacrypto
capelli
dostalk

meczu, do tego z siedmioma golami. Choć termometry w Szczecinie wskazywały zaledwie trzy stopnie, na murawie było gorąco niczym w rozgrzanym piecu. Do ognia jako pierwsi dołożyli gospodarze, a dokładniej – co nie było niespodzianką – Kamil Grosicki. W trzecim meczu Pucharu Polski „Grosikowi" w końcu udało się rozpocząć spotkanie nie od strzału w poprzeczkę, ani w słupek, tylko od gola. Po 24 minutach było już 2:0, ale na zakończenie pierwszej połowy sędziowie VAR wyłapali przewinienie w polu karnym i Zagłębie po „jedenastce" zmniejszyło straty. Podrażnieni gospodarze odpowiedzieli w 50. minucie golem Alexandra Gorgona. Tyle, że goście nie odpuścili. Strzelili dwa gole i po 77 minutach meczu zrobiło się 3:3. Znów jednak sprawy w swoje ręce wziął Kamil Grosicki, który wpadł w pole karne, rozegrał piłkę, a akcję po efektownej „klepce" skutecznie wykończył 18-letni



Patryk Paryzek. Pogoń pokonała Zagłębie 4:3 i zameldowała się w ćwierćfinale.

Druga dogrywka

Na drodze „Portowców" w 1/4 finału stanął Piast Gliwice. Rozgrywany w Szczecinie mecz znów trzymał w napięciu do końca, choć nie był tak pełnym zwrotów akcji, jak poprzedni. W pierwszej części gry żadna z drużyn nie zdobyła gola, nie stwarzając też zbyt wielu okazji. W drugiej części gry było podobnie i po raz drugi Pogoń zafundowała swoim fanom dogrywkę. Po 106. minucie meczu kibice w Szczecinie w euforii obserwowali za to, jak cała drużyna, łącznie z rezerwowymi, goni po murawie uśmiechniętego Koulourisa. Grek w ekwilibrystyczny sposób trafił do siatki, i w dodatku to nie było jeszcze ostatnie słowo gospodarzy. Kropkę na „i" postawił znów Kamil Grosicki, który po efektownej indywidualnej akcji, z ostrego kąta huknął w okienko, a piłka obiła się od poprzeczki i wpadła do bramki. Była 123. minuta gry i ci, którzy opuścili stadion przed ostatnim gwizdkiem, mieli czego żałować. Pogoń męczyła się z Piastem, ale ostatecznie odprawiła gości z kwitkiem.



Prima Aprilis

Mecz o awans do finału Pucharu Polski Pogoń zagrała z Puszczą Niepołomice pierwszego dnia kwietnia. Tym razem „Portowcy" grali w delegacji, ale poradzili sobie z rolą faworyta. Nie minęło 300 sekund gry, a po pięknej akcji Adriana Przyborka z Kamilem Grosickim, ten drugi zagrał piłkę w pole bramkowe, a zamieszanie wykorzystał Leonardo Koutris. Zanim jednak upłynęło kolejne 300 sekund, gospodarze wywalczyli rzut karny, który efektownie obronił Valentin Cojocaru. Później Kamil Grosicki kolejny raz w tej edycji rozgrywek ostemplował słupek bramki Puszczy, która odpowiedziała strzałem w poprzeczkę, na co Pogoń... znów odbiła piłkę od słupka. Tym razem jednak na tyle szczęśliwie, że futbolówka zatrzepotała w siatce. Strzelcem był Linus Wahlqvist. Ostateczny koniec marzeń w Niepołomicach nastąpił już w 52. minucie meczu, gdy akcję rozpoczął Grosicki, a zakończył Koulouris, który wykorzystał sytuację sam na sam z bramkarzem gospodarzy. Zwycięstwo mogło być jeszcze bardziej okazałe, ale piłkę lecącą do pustej już bramki w ostatniej chwili wybił głową Jakub Serafin. Faworyci nie zawiedli i rozbili Puszczę 3:0, kolejny raz awansując do wielkiego finału Pucharu Polski.


VINAGRE
19
FORTUNA
8
FORTUNA

PUCHAROWA LEGIA BEZ KOMPROMISÓW



Legia Warszawa w bieżących rozgrywkach Pucharu Polski nie miała litości. Komplet zwycięstw, żadnych dogrywek ani serii rzutów karnych, trzynaście strzelonych goli i tylko dwa stracone. W drodze do finału stołeczny zespół zostawił w pokonanym polu mistrza Polski i trzech pierwszoligowców.

Złe dobrego początki

W pierwszym meczu Pucharu Polski los skojarzył Legię z ówczesnym wiceliderem Betclic 1. Ligi – Miedzią Legnica. Wyjazdowe spotkanie „Wojskowi" rozpoczęli odważnie, ale choć w pierwszej części meczu obie drużyny stwarzały sobie dogodne sytuacje, nikt nie trafił do siatki. W drugiej części gry piłkę przed własnym polem karnym stracił za to Maxi Oyedele i Miedź za sprawą Juliusza Letniowskiego objęła prowadzenie.

Legia odpowiedziała huraganowymi atakami, naciskała i doprowadziła do remisu po rzucie karnym, który strzałem w sam środek bramki zamienił na gola Bartosz Kapustka. Jedenaście minut przed końcem podstawowego czasu gry ten sam piłkarz rozpoczął akcję, którą golem strzelonym z najbliższej odległości sfinalizował Luquinhas. To jednak nie był koniec emocji w tym spotkaniu. W doliczonym czasie gry Legię znakomitą interwencją uratował Gabriel Kobylak, a chwilę później Miedź nie wykorzystała kolejnej wyśmienitej okazji do wyrównania. Wynik tego emocjonującego meczu już się jednak nie zmienił. „Wojskowi" odwrócili losy bitwy, zwyciężyli i wyjechali z Legnicy z tarczą, spokojnie czekając na kolejnego pucharowego rywala – ŁKS.

Teatr jednego aktora

To było dziewiąte już starcie Legii z Łódzkim Klubem Sportowym w historii rozgrywek o Puchar Polski. Zespół ze stolicy, choć walczący na trzech frontach, był zdecydowanym faworytem tego spotkania. Gospodarze, którzy zajmowali ósme miejsce na zapleczu krajowej elity, liczyli na niespodziankę i po czterech minutach mogli prowadzić 1:0. Piłkę zmierzającą do siatki wybił jednak efektowną paradą Kobylak. Do szatni piłkarze schodzili przy bezbramkowym remisie i na gole trzeba było czekać do drugiej części gry. Niedługo jednak, bo już w 48. minucie Marc Gual dał gościom prowadzenie. Wychowanek Espanyolu po podbramkowym zamieszaniu



lewą nową umieścił piłkę w prawym okienku bramki gospodarzy. Rozochocony tym trafieniem Hiszpan osiem minut później znów miał ogromny udział przy bramce. Jego dośrodkowanie odbite od obrońcy zakończyło się golem na 2:0. Samobójcze trafienie zapisano Kamilowi Dankowskiemu, przez co tego wieczoru Gual nie zapisał na swoim koncie hat-tricka. Zaledwie pięć minut po drugim golu, dobrym, otwierającym drogę do bramki



podaniem popisał się Wojciech Urbański i skuteczny tego dnia w Łodzi Hiszpan po raz trzeci utonął w ramionach kolegów. Do ostatniego gwizdka arbitra więcej bramek już nie padło i Legia gładko awansowała do ćwierćfinału.

Rywal z innej bajki

Po dwóch pucharowych meczach z pierwszoligowymi rywalami przed Legią stanął znacznie groźniejszy przeciwnik – mistrz Polski. Dla Legii było to już 37. spotkanie w sezonie, a goście z Białegostoku mieli nawet dwa rozegrane mecze więcej. Podopieczni Goncalo Feio od początku rzucili się rywalom do gardła i znów aktywny był zwłaszcza Gual. Hiszpan dwoił się i troił, a w dziesiątej minucie znakomicie obsłużył Kacpra Chodynę, który znalazł się w sytuacji sam na sam z bramkarzem przyjezdnych. Wychowanek



Lecha Poznań z zimną krwią przelobował bramkarza, ale radość trwała krótko, bo sędziowie gola nie uznali. Wynik zmienił się za to w 30. minucie, choć to nie gospodarze trafili do siatki. Jarosław Kubicki sprawił, że Legia znów musiała skupić się na swojej specjalności, czyli odrabianiu strat. I ponownie ta sztuka się udała, choć dopiero po przerwie. W pierwszej odsłonie było blisko, ale Kapustka trafił tylko w słupek. Piłkę w siatce umieścił za to młodzieżowy reprezentant Polski Jan Ziółkowski, który strzałem głową doprowadził do remisu. Asystował Ryoya Morishita.

Na boisku trwała twarda walka, lecz pięć minut przed końcem meczu to Legia posłała rywala na deski. Morishita pierwszym ciosem dał „Wojskowym" prowadzenie, a w doliczonym czasie gry ustalił wynik starcia i strzelił jednego z... najdziwniejszych goli tej edycji Pucharu Polski. Japończyk przymierzył z ostrego kąta, bramkarz zdołał jeszcze dotknąć piłkę, ale ta i tak przekroczyła linię bramkową. Nie zatrzepotała jednak w siatce, tylko przelatując przez dziurę opuściła bramkę. W poprzednim meczu Legii w Pucharze Polski bohaterem Warszawy został Gual, tym razem za asystę i dwa gole miano gracza meczu przypadło piłkarzowi z Kakegawy.

Półfinał, jak po maśle

Bój o finał Legia stoczyła na Stadionie Śląskim, gdzie zmierzyła się z Ruchem Cho-

rzów. Zamiast wyrównanej walki, na którą liczyli fani „Niebieskich", goście zdeklasowali ich ulubieńców. Zaproszenie już w piątej minucie meczu wystawiła defensywa gospodarzy i po przejęciu piłki w środku pola podanie Kapustki wykorzystał Chodyna. Kolejny błąd miejscowych wykorzystał Gual i do przerwy Legia prowadziła 2:0. Po dziecięciu minutach gry w drugiej odsłonie pięknego gola strzelił Paweł Wszołek, który jak z armaty huknął pod poprzeczkę chorzowskiej bramki. Rozbity Ruch stracił wiarę w sukces, a Legia strzelała dalej. Najpierw Morishita podwyższył prowadzenie, a wynik spotkania na 5:0 ustalił Ilja Szkurin. Legia bez problemów awansowała do finału, a strzeleckie popisy na Stadionie Śląskim zaostrzyły jej apetyt na triumf także na PGE Narodowym.

Ważne, jak się kończy

W czterech meczach tej edycji rozgrywek Pucharu Polski Legia zdobyła trzynaście bramek, straciła dwie, a wszystkie mecze wygrała w podstawowym czasie gry. Pokazała oblicze drużyny, która nie zawsze dobrze rozpoczyna zawody, ale potrafi odrabiać straty i postawić na swoim. W pucharowych meczach Legia miała też swoich bohaterów, którzy okazywali się ojcami zwycięstw i awansów. Kandydatów do tej roli w wielkim finale jest w Warszawie kilku, piękne gole w Pucharze Polski strzelali już Chodyna czy Luquinhas, a królem polowania może zostać też Morishita, który z trzema trafieniami w rozgrywkach jest wiceliderem klasyfikacji strzelców. Tyle samo goli strzeliło jednak dwóch piłkarzy Pogoni, więc rywalizacja na murawie PGE Narodowego będzie toczyć się nie tylko o „Puchar Tysiąca Drużyn", lecz także o koronę króla strzelców.





LICZBY 71. EDYCJI PUCHARU POLSKI

Który raz w finale Pucharu Polski zagra Legia Warszawa, a który Pogoń Szczecin? Kto był najstarszym strzelcem, a kto najmłodszym? Ile razy o awansie do kolejnej rundy decydowały rzuty karne? Zapraszamy na wybór liczb 71. edycji tych rozgrywek.


RZECZY
29
30
31



186

piłkarzy zdobyło bramkę w Pucharze Polski. Najmłodszym strzelcem był Paweł Kwiatkowski (rocznik 2006) z Widzewa Łódź, a najstarszym Kamil Grosicki (rocznik 1988) z Pogoni

211

bramek padło od rundy wstępnej do półfinałów. Średnio w spotkaniu zdobywano 3,10 bramki. W poprzedniej edycji strzelano przeciętnie 3,38 gola

25496

to najwyższa frekwencja na meczu Pucharu Polski. Tylu kibiców było na Stadionie Śląskim podczas spotkania Ruch Chorzów – Legia Warszawa (0:5)

9

razy awans rozstrzygnął się w dogrywce

39 lat, 9 miesięcy i 8 dni

to z kolei wiek najstarszego zawodnika, który zagrał w tej edycji Pucharu Polski. To Martin Dobrotka z Arki Gdynia w meczu z Piastem (1:3)

4

razy w dogrywce grał Piast Gliwice. Dwa razy zwyciężył po rzutach karnych, raz był lepszy w dodatkowym czasie, a w ćwierćfinale odpadł po meczu z Pogonią Szczecin

5.

raz w finale wystąpi Pogoń. Jeszcze nigdy nie sięgnęła po trofeum

27.

raz warszawianie zagrają w finale Pucharu Polski

24

rzuty karne były potrzebne, aby wyłonić zwycięzcę meczu pierwszej rundy między Górnikiem Łęczna i Puszcza Niepołomice. Rezultatem 10:9 wygrał zespół z PKO BP Ekstraklasy

12

razy o awansie do kolejnej rundy rozstrzygnął konkurs rzutów karnych

6

razy w finale zagrał Artur Jędrzejczyk i wszystkie wygrał. Jeśli wystąpi po raz siódmy i zdobędzie trofeum, będzie pod tym względem rekordzistą

7

(najwięcej) goli padło w jednym meczu. W spotkaniu 1/8 finału Pogoń pokonała 4:3 Zagłębie Lubin

10.

raz finał Pucharu Polski zostanie rozegrany na stadionie PGE Narodowy. Cztery razy triumfowała tu Legia, a po razie Zawisza Bydgoszcz, Arka Gdynia, Lechia Gdańsk, Raków Częstochowa i Wisła Kraków

20

razy Legia Warszawa zdobyła trofeum Pucharu Polski

15 lat, 6 miesięcy i 1 dzień

to wiek najmłodszego uczestnika Pucharu Polski. Patryk Prajsnar z rezerw Lecha Poznań wystąpił przeciwko Pogoni Siedlce (2:0)

PUCHAROWE NAJ

Oj, ale się działo! Puchar Polski w sezonie 2024/25 dostarczył nam wielu niezapomnianych emocji, a przecież jego kulminacyjny moment dopiero przed nami. Już jednak biorąc pod uwagę dotychczas rozegrane spotkania (poczynając od I rundy), w 58 meczach oglądaliśmy średnio ponad trzy bramki na mecz! Dwunastokrotnie byliśmy świadkami serii rzutów karnych, a w ośmiu przypadkach do wyłonienia zwycięzców potrzebne były dogrywki. A co jeszcze zapamiętamy z minionych siedmiu miesięcy rywalizacji? Na okoliczność finału przygotowaliśmy małe résumé.

Gościnni gospodarze

Większa liczba wygranych gości w generalnym rozrachunku dla nikogo nie może być zaskoczeniem. System rozgrywek o „Puchar Tysiąca Drużyn" został bowiem skonstruowany tak, żeby niżej notowane zespoły występowały na własnych stadionach. Ma to bowiem niebagatelne znaczenie w kontekście promocji futbolu w mniejszych ośrodkach. To właśnie dzięki tym rozgrywkom do niektórych miejscowości w kraju mogą zawitać czołowe polskie drużyny, a kibice mają okazję zobaczyć na żywo najlepszych piłkarzy występujących nad Wisłą. I choć oczywiście ze wsparciem trybun niektórym kopciuszkom udaje się zaskoczyć faworytów, to właśnie goście, co zrozumiałe, częściej mogą cieszyć się z wywalczenia awansu. W obecnych zmaganiach ta proporcja wynosi dokładnie 21 do 37.

Największe niespodzianki

Zaskoczenia to coś, co kibice w Pucharze Polski lubią najbardziej. Nie ma edycji, w której z rywalizacją szybko nie pożegnałby się jeden z „murowanych" faworytów. W trwającej kampanii już w pierwszej rundzie z marzeniami o majówce w stolicy, po meczach z niżej sklasyfikowanymi rywalami, pożegnało się aż pięciu przedstawicieli PKO BP Ekstraklasy. Lechia Gdańsk, po remisie 1:1, w rzutach karnych uległa w Grodzisku Mazowieckim drugoligowej Pogoni (3:4), a w Nowym Sączu przedstawiciel tego samego poziomu – Sandecja, uporała się po dwóch godzinach z Cracovią (3:2). Motor Lublin w Skierniewicach musiał uznać wyższość miejscowej Unii, na co dzień rywalizującej jeszcze szczebel niżej (1:1, k. 4:5). Do niewątpliwych sensacji doszło jednak w Rzeszowie i Legnicy, gdzie już po pierwszym występie ze zmaganiami pożegnali się dwaj faworyci rozgrywek. Występująca na trzecim poziomie zmagań ligowych Resovia 1:0 uporała się z poznańskim Lechem, a występująca w Betclic 1. Lidze Miedź pokonała Raków Częstochowa (0:0, k. 4:3).

Strzeleckie popisy

180 goli w 58 meczach przekłada się nie tylko na świetną średnią biorąc pod uwagę całe rozgrywki, ale także na wiele spotkań, w których mieliśmy do czynienia z prawdziwą strzelecką kanonadą. Największą urządzili piłkarze Pogoni Szczecin i Zagłębia Lubin, którzy na etapie 1/8 finału w ciągu 90 minut do siatki trafili aż siedmiokrotnie. I co ważne, nie był to jednostronny mecz, a prawdziwy rollercoaster, trzymający w napięciu do samego końca. Dość powiedzieć, że awans podopiecznym Roberta Kolendowicza zapewniło trafienie na 4:3, na dwie minuty przed końcem podstawowego czasu gry. Jeśli chodzi zaś o najwyższe wygrane w tej edycji, to dwukrotnie padł wynik 5:0. Właśnie takim stosunkiem Odra Opole pokonała na wyjeździe w I rundzie rezerwy Podbeskidzia Bielsko-Biała, a w półfinale Legia Warszawa okazała się lepsza od Ruchu w Chorzowie.



Długodystansowcy

Jeśli chcielibyśmy znaleźć drużynę, która bardzo lubi Puchar Polski, a może właściwie lepiej należałoby stwierdzić, że lubi grać w tych rozgrywkach, musielibyśmy wskazać na ekipę, która statystycznie spędzała na boisku najwięcej czasu. Piast Gliwice, bo o nim mowa, wyjątkowo upodobał sobie bowiem w tej edycji 120-minutowe spotkania. Podopieczni Aleksandara Vukovicia, mimo że dotarli aż do ćwierćfinału, ani razu nie rozstrzygnęli rywalizacji w półtorej godziny. Zaczęli od I rundy, gdy drugoligowy Hutnik Kraków dał się pokonać dopiero po serii jedenastek (3:3, k. 5:3). Później przyszedł zakończony dogrywką mecz w Gdyni z pierwszoligową Arką (3:1) i kolejne karne we Wrocławiu ze Śląskiem (1:1, k. 8:7). Dodatkowymi 30 minutami gry również zakończył się ostatni epizod tej historii, kiedy w Szczecinie Pogoni wynik 2:0 dał przebłysk geniuszu Efthymisa Koulourisa i kontratak w ostatnich sekundach zakończony trafieniem Kamila Grosickiego.

Z trybun widać lepiej

Rozgrywki o „Puchar Tysiąca Drużyn" z roku na rok cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem. I nie chodzi tylko o finał na PGE Narodowym w Warszawie, który już tradycyjnie przyciąga rzesze fanów futbolu i stał się już niemal stałym elementem celebrowania majówki w naszym kraju. Także we wcześniejszych rundach trybuny obiektów w całym kraju wypełniały się sympatykami. W mniejszych miejscowościach często przeszkodą stawały się kwestie infrastrukturalne albo przepisy, w sytuacji, w której nie dało się zorganizować imprezy masowej. Na późniejszych etapach, na stadionach wielokrotnie meldowała się co najmniej kilkutysięczna rzesza kibiców. Rekord tej edycji padł podczas półfinałowego spotkania w Chorzowie, gdzie na Stadionie Śląskim porażkę Ruchu z Legią śledziło dokładnie 25496 osób. Olbrzymim zainteresowaniem cieszyły się także ćwierćfinałowe mecze: w Warszawie Legii z Jagiellonią (23816), a także w Szczecinie Pogoni z Piastem (15942).





Czarny koń z Niepołomic

Ta historia bez wątpienia zasługuje na docenienie. Bo choć Puszcza do rywalizacji w tej edycji Pucharu Polski przystępowała jako przedstawiciel najwyższej klasy rozgrywek ligowych, z całą pewnością nie była stawiana w roli faworyta. A jednak drużyna z małej podkrakowskiej miejscowości zameldowała się w najlepszej czwórce, osiągając największy sukces w historii klubu. Co ważne, w drodze do półfinału odniosła cztery zwycięstwa na wyjeździe, za co pewną, symboliczną nagrodą, mógł być półfinałowy mecz z Pogonią Szczecin rozegrany w końcu w Niepołomicach (od awansu do PKO BP Ekstraklasy Puszcza gości podejmowała na obiekcie Cracovii w Krakowie). Po awansie do krajowej elity i utrzymaniu w pierwszym sezonie, czołowa czwórka „Pucharu Tysiąca Drużyn", to kolejne osiągnięcie w trenerskim CV Tomasza Tułacza, który prowadząc „Żubry" od blisko dekady udowadnia, że konsekwentna i sumienna praca z czasem przynosi oczekiwane efekty.

Jakość też ma znaczenie

Puchar Polski w obecnym sezonie przyniósł nie tylko liczby, w postaci świetnej średniej bramek na mecz, ale także wrażenia estetyczne, bo co najmniej kilka trafień zasługiwało na popularne określenie „stadiony świata". Nie zabrakło pięknych uderzeń z dystansu, efektownych akcji, czy skutecznych strzałów głową. Mieliśmy też m.in. gola bezpośrednio z rzutu rożnego (Kristoffera Hansena z Jagiellonii Białystok w Chojnicach z Chojniczanką) czy spektakularny strzał à la Zlatan Ibrahimović Efthymisa Koulourisa w ćwierćfinale Pogoni Szczecin z Piastem Gliwice. Kiedy chodzi o gusta, to jednak jak wiadomo, o nich się nie dyskutuje, a każdy może wskazać swojego faworyta. A jeśli ktoś nie miał okazji śledzić telewizyjnych przekazów ze stadionów Pucharu Polski, zaległości może nadrobić w internecie, na łamach Biblioteki PZPN.

PIOTR KUCZKOWSKI

WYGRANI, KTÓRZY DO FINAŁU PUCHARU POLSKI NIE DOTARLI. „MÓWIŁA O NAS CAŁA PIŁKARSKA POLSKA”



O tym, że zmagania w Pucharze Polski cieszą się z roku na rok coraz większym prestiżem i zainteresowaniem, nie trzeba nikogo przekonywać. Potwierdza to również fakt, że do decydujących gier coraz rzadziej „dopuszczane" są mniejsze kluby. W tym sezonie największą niespodziankę sprawiła trzecioligowa Unia Skierniewice, która ma na „rozkładzie" dwie drużyny z PKO BP Ekstraklasy.

Skierniewice. Niespełna pięćdziesięciotysięczne miasto w województwie łódzkim. Z piłką nożną kojarzy się zapewne tylko co bardziej wytrawnym znawcom niższych klas rozgrywkowych. Jesienią na nowy obiekt miejscowej Unii zawitały dwa kluby PKO BP Ekstraklasy oraz czołowy pierwszoligowiec. – To były dla nas wielkie chwile w najnowszej historii klubu. Super przygoda. Mamy swoje cele ligowe, ale gra w rozgrywkach Pucharu Polski to było wielkie wyróżnienie. W wielu momentach nie mogliśmy uwierzyć, że to się tak wszystko toczy – mówi wiceprezes Unii, Sebastian Pazurek.



Trzecioligowiec zmagania na szczeblu centralnym Pucharu Polski rozpoczął od meczu z Motorem Lublin. O sensacyjnej wygranej gospodarzy przesądziły rzuty karne. Po 90. minutach było 1:1, a bramkę dla miejscowych zdobył Aghwan Papikjan w pierwszej połowie. – Ten mecz zapadnie nam na długo w pamięci. Pierwszy w obecnej edycji, więc wyjątkowy. Emocje trzymały do samego końca – wspomina przedstawiciel Unii.

Trzecioligowiec z województwa łódzkiego to swoisty fenomen w rozgrywkach Pucharu Polski. W ostatnich latach do Skierniewic przyjeżdżały również drużyny Piasta Gliwice i Lecha Poznań. – Trener Waldemar Fornalik musiał wpuścić na boisko najlepszych graczy, by nie przegrać w dogrywce. „Kolejorz" zawitał do nas, gdy obchodził stulecie istnienia. Nie było deklasacji w tym spotkaniu, Lech wygrał 2:0 – wspomina obecny wiceprezes trzecioligowca. W ostatnich dwunastu latach, odkąd w Skierniewicach reaktywowano seniorską piłkę, Unia wygrywała pucharowe zmagania na szczeblu okręgowym aż sześciokrotnie. W 1/16 finału Pucharu Polski do Skierniewic zawitał natomiast inny niedawny pierwszoligowiec

– GKS Katowice. Zespół trenera Rafała Góraka zdawał sobie sprawę, że to nie będzie spacerek... i po pierwszej połowie gospodarze prowadzili 2:0. – Jeżeli popatrzymy wyłącznie na sportowy aspekt, to był to chyba najlepszy nasz mecz w tej edycji. Mogliśmy wygrać jeszcze wyżej. Czuliśmy się bardzo dobrze, a efekty było widać już w pierwszej połowie – mówi o trafieniach Mateusza Szmyda i Kamila Sabiłły wiceprezes Unii. Katowiczanie w drugiej połowie zafundowali miejscowym spore emocje, zdołali zdobyć bramkę, ale awans do kolejnej rundy zapewnili sobie gospodarze.

– Po tym spotkaniu znaleźliśmy się na ustach wielu kibiców. Zrobiło się o nas głośno. Czekaliśmy więc z niecierpliwością na kolejne losowanie. Przyjechała do nas telewizja, media o nas zaczęły mówić. Chcieliśmy nawet trafić na Legię, by się sprawdzić. Wiedzieliśmy, że bez względu na rywala czeka nas trudne zadanie – wspominają gracze Unii. Trzecioligowiec trafił ostatecznie na Ruch Chorzów. – Też może być. Bardzo dobra marka, a jest to rywal, z którym spróbujemy powalczyć – mówili tuż po losowaniu gracze czołowego trzecioligowca.

I chociaż w grudniowym meczu z Ruchem Unia pokazała się z dobrej strony, miała swoje sytuacje, to jednak na sprawienie trzeciej sensacji nie było jej stać. – Rywal był jeszcze w grze, a my już skończyliśmy rundę. To nam może zaszkodziło – zastanawiają się przedstawiciele Unii. Dzień wcześniej, na tym samym etapie, pożegnał się z rozgrywkami inny trzecioligowiec, Sandecja Nowy Sącz, która przegrała nieznacznie z Puszczą Niepołomice (0:1).

W obu przypadkach mówimy o drużynach, które obecnie na szczeblu makroregionalnym radzą sobie bardzo dobrze. – Już wcześniejsze doświadczenia dały nam dużo, pozwoliły wejść w mecze z Motorem i GKS-em z większą pewnością siebie – mówi wiceprezes Unii. Klub ze Skierniewic pucharowymi potyczkami niejako uświetnił także otwarcie nowego obiektu. – Pierwsza porażka zdarzyła nam się w meczu z Ruchem – dodaje.







Udana przygoda w Pucharze Polski przekłada się na występy ligowe. – Zawodnicy są ambitniejsi, chcą drugiej ligi – mówią w Skierniewicach i Nowym Sączu. – Mieliśmy obawy, czy zimą po udanych występach w Pucharze Polski nie dojdzie do rozbiórki w drużynie. Na szczęście, poradziliśmy sobie – mówi wiceprezes Unii, chociaż dwóch czołowych zawodników trzecioligowca: bramkarz Stanisław Pruszkowski i obrońca Filip Zając przeszło do Wisły Płock. – Dużo więcej było jednak plusów. Zainteresowanie kibiców, mediów, wszyscy o nas mówili. To była nasza najlepsza reklama. A gdybyśmy mieli dwa razy większy stadion, to również byśmy go zapełnili – dodaje nasz rozmówca.

Sandecja w 1/8 finału PP przegrała z Puszczą Niepołomice, wcześniej jednak wyeliminowała wyżej notowaną Pogoń Grodzisk Mazowiecki (1:0). Prawdziwą sensacją było zaś ograne Cracovii, która jesienią radziła sobie bardzo dobrze w PKO BP Ekstraklasie. Trzecioligowiec wygrał to spotkanie 3:2 po dogrywce. „Pasy" objęły prowadzenie pod koniec drugiej połowy, ale do remisu doprowadził Piotr Kowalik w ostatniej minucie spotkania. W do-



grywce bramkę na wagę awansu zdobył Jakub Wilczyński, który w regulaminowym czasie gry otworzył wynik meczu. – To spotkanie, które na pewno zapamiętamy wszyscy na bardzo długo. Tym bardziej, że rywalizacje z Cracovią zawsze wyzwalają u nas dodatkowe emocje. Dla mnie to szczególny mecz, bo jednak zdobyć dwie bramki w pojedynku przeciwko ekipie z Ekstraklasy nie zdarza się codziennie. Szkoda, że z czasem nie udało się zajść dalej, ale i tak bardzo pozytywnie wspominamy pucharową przygodę – mówi 23-letni napastnik.

Po raz kolejny sporo emocji w pucharowych zmaganiach zafundowała swoim kibicom Lechia Zielona Góra. Trzecioligowiec, który od kilku sezonów plasuje się w górnej połówce makroregionalnych rozgrywek, w ostatnich latach w Pucharze Polski gościł między innymi Legię Warszawa, Radomiak Radom czy też Jagiellonię Białystok. W obecnej edycji Lechia zagrała tylko jedno spotkanie przed własną publiką. W ostatni dzień października trzecioligowiec podejmował Widzew. Faworyt przez długi czas przegrywał, ale ostatecznie awans wywalczył po rzutach karnych. Po dogrywce był remis 3:3. – To jest mecz, który na pewno zapamiętamy na długo – mówi Mateusz Lisowski z Lechii, który w pucharowym spotkaniu zdobył dwie bramki. – Z jednej strony rywal był faworytem i pod koniec spotkania doprowadziliśmy do remisu dość szczęśliwie. Z drugiej jednak przegraliśmy awans w rzutach karnych. Loteria... – żałują w obozie trzecioligowca, który już powoli myśli o kolejnej edycji Pucharu Polski. W tym sezonie klub z Zielonej Góry ponownie nie awansuje do drugiej ligi, zatem rywalizacja pucharowa może być jedyną okazją do zmierzenia się z ekipami z poziomu centralnego.

Ze swojej pucharowej przygody mogą być zadowoleni również w Grudziądzu. Co prawda trudno traktować drugoligową Olimpię jako kopciuszka w Pucharze Polski, z drugiej jednak strony... – Wyeliminowaliśmy KKS Kalisz, GKS Tychy oraz Resovię. W każdym z tych spotkań to rywale uchodzili za faworytów – mówią przedstawiciele drugoligowca. Zwłaszcza wygrana z GKS-em Tychy może budzić podziw. Gospodarze dwukrotnie w tym spotkaniu przegrywali, a w drugiej połowie hat-tricka skompletował Szymon Krocz. Olimpia przegrała w 1/8 finału Pucharu Polski z Jagiellonią Białystok, a sama wizyta mistrza Polski w Grudziądzu może uchodzić za swoistą nagrodę za wcześniej włożony wysiłek. – W tym spotkaniu nie mieliśmy już za wiele do powiedzenia. Jagiellonia była rozpędzona, do przerwy rozstrzygnęła losy awansu – wspomina ostatni pucharowy mecz Tomasz Kaczmarek. Na kolejne niespodzianki w Pucharze Polski trzeba poczekać do jesieni.

Michał Żyro aż sześciokrotnie zdobył Puchar Polski. Było to jego zarówno pierwsze, jak i ostatnie trofeum w karierze. W finałach często odgrywał kluczowe role, choć bywało też tak, że nie mógł świętować triumfu, bo... spieszył się do szkoły. Tym razem o puchar zawalczą byłe drużyny czterokrotnego reprezentanta Polski. Trudno więc o lepszego eksperta przed finałem Pucharu Polski 2025, niż były zawodnik m.in. Legii Warszawa i Pogoni Szczecin.

MICHAŁ ŻYRO: W FINALE PUCHARU POLSKI SPEŁNIŁEM MARZENIE

Aż sześć triumfów w rozgrywkach, gole i asysty w finałach, wielkie przeżycia. Jak wyjątkowe były dla ciebie mecze Pucharu Polski?

To szczególne spotkania, bo w zasadzie w tych rozgrywkach rozpocząłem seniorską karierę, gdy 25 listopada 2009 roku zagrałem w 1/8 finału Pucharu Polski z Cracovią. Wprawdzie pięć dni wcześniej zadebiutowałem w Legii w ligowym meczu z Polonią Warszawa, ale wszedłem na boisko w samej końcówce. Zagrałem tylko trzy czy cztery minuty. Zremisowaliśmy wówczas w derbach 1:1. Pomimo kilku chwil spędzonych na boisku, zostałem wybrany przez kibiców zawodnikiem meczu. Frustracja po rozczarowującym wyniku była u fanów tak duża, że postanowili zagłosować na wychowanka, który wszedł na kilka minut i pokazał zaangażowanie. Czułem wtedy, że po kilku dniach w meczu z Cracovią mogę dostać większą szansę. I rzeczywiście, w 66. minucie zmieniłem Miroslava Radovicia, a że


adidas
FINAŁ
PUCHARU POLSKI
LEGIA WARSZAWA - RUCH CHORZÓW
24.04.2012
ActiveJet

mecz zakończył się dogrywką, to spędziłem na boisku sporo czasu. Ostatecznie wygraliśmy 2:0. To był wyjątkowy czas i trochę zaskakujący. Nie myślałem wtedy, co będzie później, tylko cieszyłem się z otrzymanej szansy i skupiałem na jej wykorzystaniu.

Już w kolejnym sezonie świętowałeś swoje pierwsze trofeum, gdy w finale Pucharu Polski po serii rzutów karnych Legia pokonała Lecha Poznań. Choć akurat w decydującym meczu nie zagrałeś, to jakie masz z niego wspomnienia?
Przebieg tego meczu był niesamowity. Zakończył się rzutami karnymi, w których bohaterem był Wojciech Skaba, a więc nasz drugi bramkarz. Przegrywaliśmy, ale w drugiej połowie Manu strzelił wyrównującego gola. Był on irytującym piłkarzem, przeplatał dobre mecze z tymi słabszymi, których było więcej. Tutaj akurat zaimponował nam zdobytą bramką w arcyważnym momencie. Dla mnie to też był dobry czas, bo na stałe byłem już częścią pierwszego zespołu, czułem się pełnoprawnym zawodnikiem Legii. Cieszę się, że tak szybko przeszedłem do historii tego klubu zdobywając trofeum. Nie mogłem go jednak za bardzo świętować, bo następnego dnia miałem maturę. W Bydgoszczy byli ze mną rodzice i po meczu zabrali mnie autem do domu. Byliśmy w Warszawie około godziny 4, a już o 9 miałem egzamin, który ostatecznie zdałem. Świętowanie z kolegami było więc dość krótkie, tylko w szatni, bo kiedy oni wracali autokarem, to ja już byłem w trasie z rodzicami. Trenerzy Maciej Skorża i Jacek Magiera mocno dbali o to, żeby młodzi zawodnicy nie zaniedbywali szkoły.

Czy mimo wszystko nie było ci żal, że nie pojawiłeś się wówczas na boisku?
Na pewno było mi szkoda, bo każdy chciałby mieć udział w zdobyciu trofeum. W tym meczu dużo się jednak działo, bo w trakcie spotkania musieli zejść Dickson Choto i Inaki Astiz. W tamtym czasie trener miał do dyspozycji



tylko trzy zmiany, więc oprócz tych dwóch, została mu jedna. A chętnych do gry było więcej. Oprócz mnie cały mecz na ławce przesiedzieli także Artur Jędrzejczyk i Janusz Gol. To też pokazuje, jak dobrą ekipę mieliśmy, skoro tacy zawodnicy nie weszli na plac gry. Nie masz wyrzutów sumienia, jeżeli przy tak mocnym zespole nie wejdziesz na boisko, a drużyna zdobędzie puchar.



Rok później byłeś już pierwszoplanową postacią finału. Legia pokonała wówczas Ruch Chorzów 3:0, a ty strzeliłeś gola, miałeś asystę i tzw. asystę drugiego stopnia. Czy to finał, który wspominasz najlepiej?

Pod względem sportowym – tak, chociaż biorąc pod uwagę całokształt, to jeszcze lepiej wspominam spotkanie z Lechem Poznań w 2015 roku, gdy finał rozgrywany był już na PGE Narodowym w Warszawie. A mecz z Ruchem w Kielcach przypadł na mój świetny czas w karierze, bo to też okres, w którym byłem brany pod uwagę przy powołaniach do reprezentacji Polski. Ogólnie wszystko szło w bardzo dobrym kierunku, a tak duży wkład w zdobycie trofeum przez Legię jest czymś niesamowitym. W meczu z Ruchem

od początku zagraliśmy między innymi. ja, Janek Gol i „Jędza", z którymi siedziałem na ławce w finale rok wcześniej. W pierwszym składzie był też Michał Kucharczyk, który w Bydgoszczy wszedł dopiero w drugiej połowie. Role więc się odwróciły, w ciągu roku to my weszliśmy do wyjściowej jedenastki, a efekt był niezmiennie dobry – znów zdobyliśmy Puchar Polski. Skoro rozmawialiśmy o tym, czy w 2011 roku nie przejmowałem się, że nie wszedłem na boisko w finale z Lechem, to kolejny sezon pokazał, że nie było się czym martwić, bo życie fajnie to zrekompensowało.

Rok później z kolei było zupełnie na odwrót, bo miałeś problemy zdrowotne i wiosną zagrałeś tylko w jednym meczu Legii. W finałowym dwumeczu Pucharu Polski ze Śląskiem Wrocław także nie wystąpiłeś, choć w wyjazdowym spotkaniu zasiadłeś na ławce rezerwowych.
W decydujących fazach nie mogłem grać, ale medal za zwycięstwo w rozgrywkach mam w swojej kolekcji. Dołożyłem swoją cegiełkę do triumfu poprzez gole i asysty w meczach z Okocimskim Brzesko oraz Piastem Gliwice we wczesnych fazach rozgrywek.

W sezonie 2014/2015 twój wkład był jeszcze większy. Twoje gole przesądziły o wyeliminowaniu Pogoni Szczecin oraz Śląska Wrocław. Jak wspominasz finałowe spotkanie z Lechem Poznań?
Trenerem Legii był wówczas Henning Berg i pamiętam, że akurat wtedy byłem bardzo wkurzony, bo nie dał mi zagrać od początku. Byłem w dobrej dyspozycji, więc liczyłem na miejsce w wyjściowym składzie. Berg postawił jednak na Guilherme, któremu nie szło zbyt dobrze. Przegrywaliśmy w finale 0:1 po samobójczym golu Tomasza Jodłowca, choć po dziesięciu minutach trafił już do właściwej bramki. Przed przerwą trener natomiast wpuścił mnie w miejsce Guilherme. Ten mecz wywołał we mnie największe emocje: przed pierwszym gwizdkiem była frustracja z powodu miejsca na ławce rezerwowych, potem złość po straconym golu i radość po strzelonym, a następnie determinacja, by wchodząc na boisko jeszcze w pierwszej połowie, odwrócić losy meczu.

Dlaczego to właśnie ten finał Pucharu Polski był dla ciebie szczególny?



Ze względu na emocje, o których mówiłem, ale też otoczkę. Pamiętam choćby przemarsz kibiców na stadion, rywalizację fanów na oprawy na trybunach, całe święto, które było zorganizowane wokół tego wydarzenia. Na

koniec meczu jeszcze złamałem nos po starciu z Barrym Douglasem. Dużo się działo, a ostatecznie zdobyliśmy Puchar Polski, dlatego był to dla mnie tak wyjątkowy dzień.

Na kolejny finał czekałeś dziewięć lat. Przed rokiem zagrałeś w nim jako zawodnik Wisły Kraków i nie można powiedzieć,



że przebieg spotkania był mniej emocjonujący. Dopiero w ostatniej akcji doliczonego czasu gry doprowadziliście do dogrywki, którą potem wygraliście. Czy był moment, w którym straciłeś wiarę w sukces?

W trakcie meczu nie myśli się o nim w takich kategoriach. Może gdyby rywal prowadził dwiema-trzema bramkami, to pojawiłoby się zwątpienie, ale my po prostu cały czas staraliśmy się o strzelenie gola. Z przebiegu spotkania byliśmy lepszym zespołem, przeważaliśmy, więc pozostawało nam to potwierdzić. Oczywiście nie spodziewałem się, że doprowadzimy do remisu w ostatniej akcji meczu. Anton Cziczkan wstrzelił piłkę z rzutu wolnego, zablokowałem obrońcę, Alan Uryga zagrał głową do Eneko Satrusteguiego, a on wyrównał. To był szok dla wszystkich. Później zastanawiałem się, czy wystarczy nam sił w dogrywce, bo już druga połowa podstawowego czasu gry była bardzo intensywna. Zużyliśmy mnóstwo energii, by zdobyć bramkę na 1:1. Ostatecznie okazało się, że dodała nam ona świeżości. Widać to było choćby po Angelu Rodado, który później wykorzystał błąd Leo Borgesa i mimo że grał od początku, a to była już dogrywka, to miał jeszcze siłę na znakomity rajd i zdobycie bramki.

Emocji było w tym meczu bardzo dużo, a dla mnie był to szczególny powrót na PGE Narodowy. Nie spodziewałem się po odejściu z Legii, że jeszcze uda mi się wystąpić w finale Pucharu Polski, zwłaszcza grając w Betclic 1. Lidze. Już sama możliwość udziału w tym spotkaniu była nagrodą i wielkim przeżyciem. Z okna hotelu, w którym spaliśmy, widziałem PGE Narodowy. Rano, w dniu meczu, spojrzałem na stadion i wróciły wszystkie wspomnienia z poprzednich meczów na nim. Droga na mecz przypominała mi dawne sukcesy, a fakt, że byliśmy wylosowani jako gospodarze i mogliśmy przebierać się w szatni, w której robi to też reprezentacja Polski, przywołał w pamięci moje własne występy w narodowych barwach. To było świetne przeżycie, zwłaszcza, że zagrałem w tym meczu i nawet mogłem mieć asystę, ale Patryk Gogół nie wykorzystał okazji w dogrywce. Końcowy gwizdek wywołał wybuch radości, bo czułem, że spełniłem swoje marzenie. Jeszcze na koniec kariery udało się włożyć do gabloty kolejne trofeum,

na dodatek w barwach pierwszoligowego zespołu. To fajne, że w piłce jest tyle pieniędzy, mają one ogromne znaczenie, a jednak klub spoza PKO BP Ekstraklasy może pokonać wyżej notowanego przeciwnika.
Ubiegłoroczny finał był dla mnie spełnieniem marzeń także dlatego, że sukces ten mogły z trybun obserwować moje dzieci. Gdy zdobywałem Puchar Polski w barwach Legii, to jeszcze nie było ich na świecie, więc dla nich było to pierwsze takie przeżycie. To świetna sprawa dla mnie i całej rodziny. Duże emocje wywołał też powrót do Krakowa, ponieważ Wisła ma bogatą historię i ogromną liczbę fanów, którzy są głodni sukcesów. Świętowanie z nimi pokazało, jak bardzo ci ludzie tęsknili za zdobywaniem trofeów. To był naprawdę wspaniały czas.

Jak dużo wyjątkowości finałowi Pucharu Polski dodaje fakt, że rozgrywany jest on na PGE Narodowym?
Jest to znakomicie pomyślane począwszy od daty, poprzez miejsce, po organizację. Kibice obu finalistów zawsze mają okazję i możliwość, by efektownymi oprawami rywalizować ze sobą na trybunach i jest to ważna część widowiska. Na dodatek zawsze



odbywa się to w świetnej atmosferze, nie pamiętam żadnych ekscesów podczas finałowych spotkań w Warszawie. Przemarsz kibiców czy docieranie ich na stadion nigdy nie stanowi problemu, więc to znakomicie, że jest bezpiecznie niezależnie od tego, kto akurat znajduje się w finale. Dla polskiego piłkarza to także wyjątkowe przeżycie, bo jest jedną z nielicznych okazji, by zagrać na największym stadionie w kraju. Można to osiągnąć tylko poprzez grę w reprezentacji lub właśnie w finale Pucharu Polski, a więc wybiegnięcie na murawę PGE Narodowego jest wyjątkowym wyróżnieniem. Nie ma innych możliwości, żeby stanąć na płycie tego stadionu. No, chyba że kupisz bilet na koncert Dawida Podsiadły, ale to inna sprawa. Dla piłkarza to czynnik, który motywuje do poświęceń.

Grałeś i w Legii Warszawa, i w Pogoni Szczecin. Jak ważny na obu drużyn jest finał Pucharu Polski 2025?

Dla Legii jest to mecz o uratowanie tego sezonu. Dla Pogoni – już niekoniecznie, bo to klub, który wygląda bardzo dobrze, biorąc pod uwagę zmiany właścicielskie oraz fakt, że przed rundą wiosenną piłkarze strajkowali. To zdecydowanie miało wpływ na to, co dzieje się w szatni, ale najwidoczniej nie miało przełożenia na postawę zespołu na boisku i myślę, że to dzięki trenerowi Robertowi Kolendowiczowi, który świetnie poukładał Pogoń. Wyzwaniem dla drużyny jest to, że wraca w miejsce, w którym przed rokiem dostała lanie, którego się nie spodziewała. Myślę, że „Portowcy" narzucili sobie wtedy zbyt dużą presję i jej nie wytrzymali. Od razu po meczu mówili więc, że wrócą na PGE Narodowy za rok i zdobędą Puchar Polski. W przekonującym stylu rzeczywiście dotarli do finału i wracają do Warszawy, więc jestem ciekawy, jak poradzą sobie w decydującym meczu.

Legia za to w lidze wszystko przegrała, tak to trzeba nazwać. Zdobycie Pucharu Polski to dla niej jedyna szansa, by zagrać w przyszłym sezonie w europejskich pucharach. Z drugiej strony ewentualna porażka z Pogonią mogłaby być wstrząsem, który wywołałby zmiany w klubie. To byłaby sportowa klęska, bo Legia musiałaby rozpoczynać wszystko od nowa, bez żadnego trofeum i europejskich pucharów. Ciekawi mnie też, jak będzie wyglądała drużyna budowana przez Michała Żewłakowa, który został nowym dyrektorem sportowym klubu. Jeśli otoczy się ludźmi, którzy mu pomogą, to myślę, że Legia dużo na tym zyska. Michał ma ogromną wiedzę i intuicję jeśli chodzi o piłkę nożną, umie wyciągać właściwe wnioski i odpowiednio je przekazać. Twardo stąpa po ziemi, nie koloryzuje, więc Legia może mieć z niego dużo pożytku. Porażka w finale mogłaby więc być dla niej pozytywnym wstrząsem, ale wiązałaby się też z mniejszymi finansami, bo klub nie mógłby liczyć na nagrodę za zwycięstwo w Pucharze Polski oraz na premie za grę w europejskich pucharach. A bez tych funduszy, trudniej jest zmieniać zespół. Pogoń i Legia mają więc oddzielne historie, ale dla obu jest to kluczowe spotkanie i na obu może odcisnąć piętno. Zapowiada się bardzo ciekawe widowisko.

Kogo więc upatrujesz w roli faworyta?

Trudno powiedzieć. Pogoń potrafi rozgrywać świetne spotkanie, ale boję się o głowy jej zawodników. Ciekawi mnie, czy wytrzymają ciśnienie, gdy wrócą wspomnienia z finału z 2024 roku. Legia to z kolei doświadczony zespół w rywalizacji pucharowej, ma za sobą wielką historię, ale pod względem piłkarskim jest niewiadomą. Zgodzę się, że choćby w niedawnym meczu z Jagiellonią Białystok mogła wygrać, gdyby była skuteczniejsza, ale nie była i przegrała. Fakt, że na 15 punktów możliwych do zdobycia z czołowymi trzema zespołami PKO BP Ekstraklasy wywalczyła tylko jeden, jest bardzo wymowny. Jestem ciekawy mentalnego podejścia obu drużyn. Spodziewam się otwartego spotkania, bo to drużyny, które chcą utrzymywać się przy piłce i wolą atakować niż bronić.

ROZMAWIAŁ
NORBERT BANDURSKI

HAZARD KOPY, PARADA SZCZECHA I FART „WOJSKOWYCH”

Nic zatem dziwnego, że w 1981 roku Legia czekała na mistrzostwo już od jedenastu lat, a w tym czasie trzykrotnie zdobyła Puchar Polski. Do finału „Wojskowi” awansowali bez większych problemów, najbardziej męcząc się z pierwszym rywalem – Motorem Lublin (gospodarze nawet prowadzili po golu obrońcy Romana Dębińskiego). Trenerem Legii był wówczas Ignacy Ordon – pierwszy polski szpieg piłkarski. Tak, tak, to nie pomyłka. Ten etatowy wojskowy rozpracowywał rywali klubu ze stolicy w europejskich pucharach. I jak napisał nieodżałowany Andrzej Gowarzewski: „Ordon robił to z ukrycia, ale profesjonalnie”. A w wyjściowej jedenastce na mecz z Pogonią trener Legii znalazł miejsce aż dla dziesięciu reprezentantów Polski: Jacka Kazimierskiego (23 mecze w kadrze), Pawła Janasa (53), Edwarda Załężnego (4), Ryszarda Milewskiego (3), Janusza Barana (1), Henryka Miłoszewicza (9), Stefana Majewskiego (40), Marka Kusty (19), Krzysztofa Adamczyka (3) i Mirosława Okońskiego (29). Rok później Kazimierski, Janas, Majewski i Kusto przywieźli z Hiszpanii medal mistrzostw świata za 3. miejsce w turnieju. Jedynym piłkarzem Legii, w meczu z Pogonią, który nigdy nie zagrał w drużynie narodowej był paradoksalnie jej kapitan i strzelec zwycięskiego gola – Adam Topolski.

Finał Pogoni

„Portowcy” po raz pierwszy awansowali do finału Pucharu Polski, ale drogę na stadion Calisii mieli znacznie trudniejszą niż ich rywale ze stolicy. Drużynę Piasta Nowa Ruda wyeliminowali dopiero po rzutach karnych, a Broń Radom po dogrywce. W półfinale Pogoń ledwo, ledwo uporała się z rewelacją



Dla Legii Warszawa trofeum Pucharu Polski to zawsze była „specjalność zakładu". W Ekstraklasie trzeba prezentować równą dyspozycję przez cały sezon, a w latach 70. i na początku 80. gwiazdy z Łazienkowskiej (praktycznie każdy z piłkarzy z podstawowej jedenastki mógł o sobie powiedzieć „były lub aktualny reprezentant Polski") miały z tym duży problem. Co innego w krajowym pucharze. Tam do końcowego triumfu wystarczyło „sprężyć się" na pięć-sześć meczów.





rozgrywek – Resovią, w której występował wówczas strzelec legendarnego gola na Wembley Jan Domarski. W Pogoni wszystko się kręciło wokół Zenona Kasztelana. Pomocnik o wdzięcznym pseudonimie „Jojo" był kapitanem drużyny, jej największą gwiazdą, liderem środka pola oraz sześciokrotnym reprezentantem Polski. Oprócz niego epizod w drużynie narodowej zaliczył jeszcze bramkarz Marek Szczech (2). I tyle. W porównaniu z reprezentacyjnymi dokonaniami legionistów, to była różnica nie jednej, ale kilku klas.

Finał Szczecha

Na stadionie w Kaliszu różnicy w umiejętnościach w ogóle nie było widać. Oba zespoły miały szansę na zmianę wyniku składającego się z dwóch zer, jednak Jacek Kazimierski i Zbigniew Długosz raz za razem pokazywali, że znają się na bramkarskim fachu. Do 83. minuty było 0:0, ale wtedy Legia miała piłkę meczową. Szarżującego w polu karnym Okońskiego sfaulował Jerzy Stańczak i sędzia Alojzy Jarguz (dwukrotny uczestnik mistrzostw świata) podyktował rzut karny.

Wtedy trener „Portowców" Jerzy Kopa zachował się jak urodzony hazardzista, albo... szaleniec. Tuż przed wykonaniem „jedenastki" zmienił... bramkarza. Za Długosza wszedł Marek Szczech. – Byłem zszokowany, a i to mało powiedziane. Byłem wściekły na trenera, że nie daje mi szansy przejść do historii Pogoni. Nie chciałem się z tym pogodzić i nie chciałem zejść z boiska. Nie wiem jak to się stało, że jednak zszedłem. Trwało to kilka ładnych minut. A to był bardzo ważny moment meczu. [...] Trochę czasu Marek Szczech potrzebował na przygotowanie się i wejście na boisko. Dramaturgia tego momentu w meczu była bardzo duża. Już nie pamiętam, w jaki sposób znalazłem się poza linią boiska, podbiegłem do Marka za bramkę i podpowiedziałem mu, aby rzucił się w prawy róg, mimo że Adamczyk większość karnych strzelał w lewy róg bramkarza. Te moje podpowiedzi nie były kulturalne. Był to pełen ekspresji przekaz, wyrażony, tak aby dotarł do Marka. Intuicja mnie nie zawiodła! Adamczyk zmienił róg. Marek rzucił się w odpowiednią stronę i obronił strzał. Dalej byliśmy w grze. Już do końca spotkania zza bramki oglądałem mecz. Doszło do dogrywki – wspominał po latach Zbigniew Długosz w książce „27 kroków".

Finał Topolskiego

Przed rozpoczęciem dogrywki w Legii doszło do ważnej zmiany. Z boiska zszedł Załężny, miejsce wysuniętego stopera zajął Janas, ostatniego defensora grał Topolski, a na prawej obronie został ustawiony rezerwowy Sobczyński (notabene, też były reprezentant Polski). Minuty mijały, a na stadionowym zegarze wciąż „straszyły" dwa zera. Obaj trenerzy już chyba myśleli, kogo wyznaczyć do rzutów karnych, gdy nadeszła 118. minuta. Znowu posłuchajmy Zbigniewa Długosza, która tak to opisuje w swojej książce. „Mieliśmy wznowienie od swojej bramki, z tzw. piątki. Piłkę ustawił Marek (Szczech – przyp. red.) i tak niefortunnie ją kopnął, że zaryl w ziemię i trafił zaskoczonego takim uderzeniem Zbyszka Kozłowskiego. Zbyszek jeszcze w jakiś sposób uratował całą sytuację, wybijając piłkę na rzut rożny. Niestety, po tym rzucie rożnym piłka spadła na nogę nieobstawionego Adama Topolskiego, który ustalił wynik meczu na 1:0 dla Legii. Mimo naszych szalonych ataków do końca spotkania wynik nie uległ zmianie". W ten sposób „Portowcy" przegrali pierwszy z czterech finałów Pucharu Polski (1981, 1982, 2010, 2024), a Legia po raz siódmy w historii zdobyła to cenne trofeum. Do 2025 roku dołożyła jeszcze trzynaście takich triumfów.

RAFAŁ BYRSKI

24 czerwca 1981

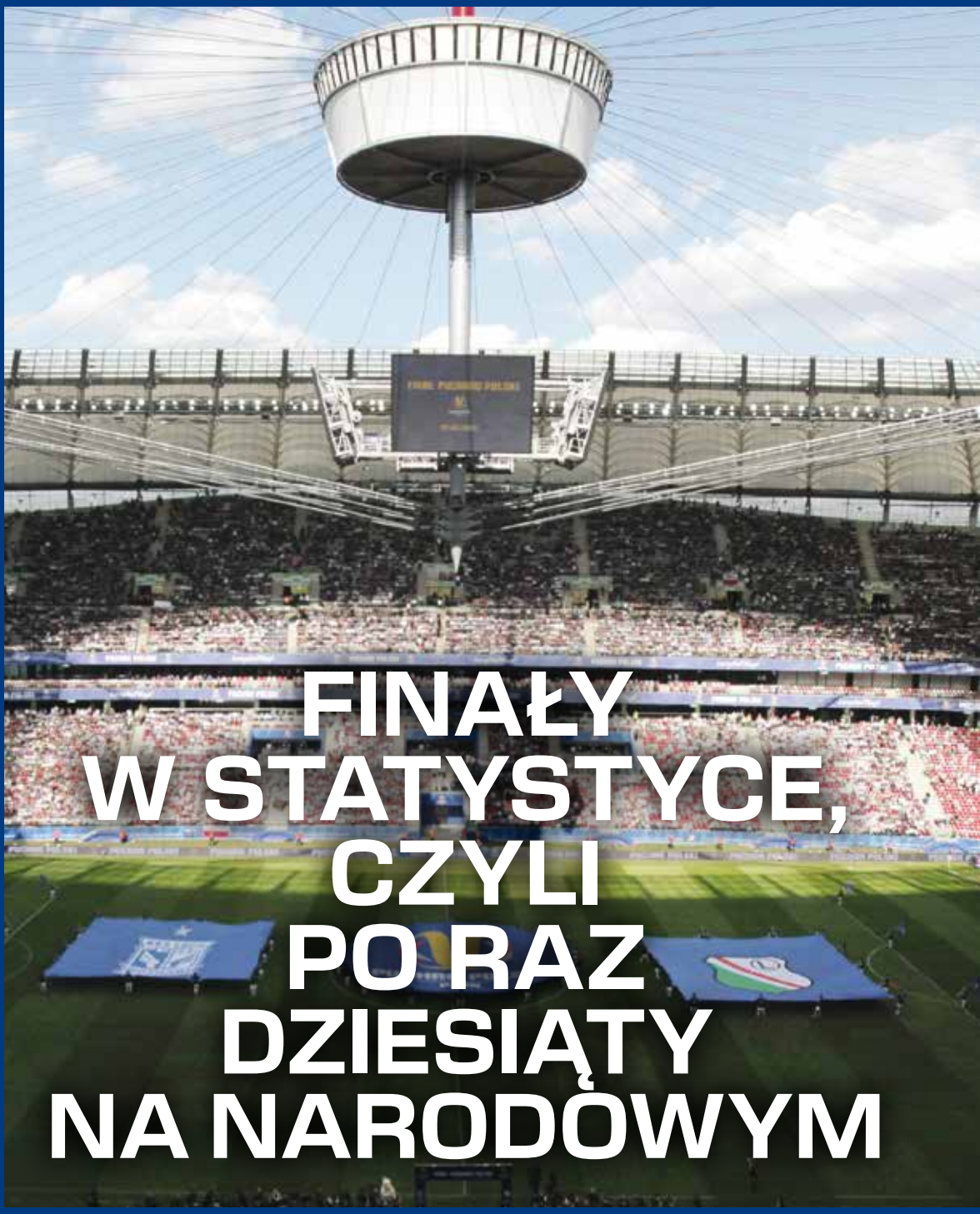
Kalisz Legia Warszawa – Pogoń Szczecin 1:0 pd. (0:0, 0:0)

Bramka: Adam Topolski 118.

Legia: Jacek Kazimierski – Adam Topolski, Paweł Janas, Edward Załężny (91. Stanisław Sobczyński) – Ryszard Milewski, Janusz Baran, Henryk Miłoszewicz, Stefan Majewski – Marek Kusto, Krzysztof Adamczyk, Mirosław Okoński. Trener: Ignacy Ordon.

Pogoń: Zbigniew Długosz (82. Marek Szczech) – Jerzy Stańczak, Zbigniew Kozłowski, Leszek Piekarczyk, Zbigniew Czepan – Marek Włoch, Zenon Kasztelan, Leszek Wolski – Dariusz Krupa (60, Benon Szostakowski), Zbigniew Stelmasiak, Janusz Turowski. Trener: Jerzy Kopa.

Sędziował: Alojzy Jarguz.



FINAŁY W STATYSTYCE, CZYLI PO RAZ DZIESIĄTY NA NARODOWYM



Licznik finałowych meczów Pucharu Polski na PGE Narodowym dobija do „dziesiątki". W dziewięciu poprzednich nie brakowało praktycznie niczego, co wiąże się z definicją emocjonującego widowiska. Atmosfera, oprawa, piękne gole, bramki w doliczonym czasie gry, dogrywki, rzuty karne oraz sensacje i niespodzianki – to wszystko w minionych latach dostarczał nam finał w Warszawie. W oczekiwaniu na dziesiąty mecz na PGE Narodowym zapraszamy na kolejną podróż do przeszłości. Tym razem niespecjalnie odległą, bo wskazówki wehikułu czasu cofamy tylko o 11 lat.



Dziewięć finałów – dziesięć klubów

W dziewięciu finałach na Narodowym wystąpiło dziesięć klubów. Najwięcej – Legia i Lech – po cztery razy. Dwukrotnie na murawę warszawskiego stadionu wybiegli 2 maja piłkarze Arki Gdynia i Rakowa Częstochowa. W tym roku lista uczestników wielkiego finału nie powiększy się, gdyż Legia zagra w nim po raz piąty, a Pogoń po raz drugi.

Trzy razy z rzędu w finale na PGE Narodowym występował Lech (2015, 2016, 2017 – wszystkie przegrane), a po dwa razy Legia (2015, 2016 – oba wygrane), Arka (2017, 2018 – jeden wygrany i przegrany), Raków (2022, 2023 – jeden wygrany i przegrany). Teraz do tego grona dołączy Pogoń. W ubiegłym roku „Portowcy" przegrali w finale po dogrywce (1:2), z grającą na drugim poziomie rozgrywek Wisłą Kraków. „Biała Gwiazda" to jedyny klub spoza Ekstraklasy, który zagrał w finale Pucharu Polski na PGE Narodowym. Wszyscy uczestnicy finałów na Narodowym

Zawisza Bydgoszcz	*2014
Zagłębie Lubin	2014
Legia Warszawa	*2015, *2016, *2018, *2023
Lech Poznań	2015, 2016, 2017, 2022
Arka Gdynia	*2017, 2018
Jagiellonia Białystok	2019
Lechia Gdańsk	*2019
Raków Częstochowa	*2022, 2023
Pogoń Szczecin	2024
Wisła Kraków	*2024

* drużyny, które wygrały

Po cztery razy, ale... na odwrót

Legia i Lech są z liczbą „cztery" mocno związani, ale mają z nią zupełnie inne wspomnienia. Piłkarzom ze stolicy „czwórka" kojarzy się z sukcesem, graczom z Wielkopolski wręcz przeciwnie. Legia na PGE Narodowym wykazuje się stuprocentową skutecznością. Cztery finały Pucharu Polski i... cztery triumfy: (2015 – 2:1 z Lechem, 2016 – 1:0 z Lechem, 2018 – 2:1 z Arką, 2023 – 0:0, w karnych 6:5 z Rakowem). „Kolejorz" także cztery razy grał w finale na reprezentacyjnym obiekcie stolicy i doznał czterech porażek! Oprócz meczów z Legią, przegrał również w 2017 (1:2 z Arką) i 2022 roku (1:3 z Rakowem).

„Jodła" jak Brandts, Legia jak Holandia

Co łączy Tomasza Jodłowca z holenderskim piłkarzem Earnie Brandstem? Już śpieszymy z odpowiedzią. Z tego samego powodu jeden przeszedł do historii finałów mistrzostw świata, a drugi do historii finałów... Pucharu Polski. Brandst w trakcie meczu Holandii z Włochami, na mundialu w Argentynie (1978), najpierw strzelił gola samobójczego (przy okazji przyczynił się do kontuzji kolegi z zespołu – bramkarza Pieta Schrijversa), a później trafił już do właściwej siatki – pokonując Dino Zoffa. Był to pierwszy wypadek w historii mistrzostw świata, by w jednym meczu ten sam piłkarz popisał się tak niecodziennym dubletem. Jodłowiec identycznego wyczynu dokonał w finale Pucharu Polski w 2015 roku. Wtedy pomocnik Legii najpierw pokonał kolegę z zespołu – Dusana Kuciaka, ale dziesięć minut później w pełni się zrehabilitował, trafiając do bramki Lecha. Co ciekawe, oba mecze zakończyły się takim samym wynikiem: 2:1.

Reszta Świata – Polska 9:8

W dziewięciu finałach piłkarze strzelili osiemnaście goli (nie licząc tych w seriach rzutów karnych w finałach w 2014 i 2023 roku). Średnia wynosie więc dwa gole na mecz. Żadnemu zawodnikowi ta sztuka nie udała się więcej niż raz. Na tej liście jest dziewięciu graczy z zagranicy (Cafu, Prijović, Zarandia, Amaral, Gutkovskis, Lopez, Kolouris, Satrustegui i Rodado) i ośmiu Polaków (Jodłowiec, Niezgoda, Saganowski, Siemaszko, Sołdecki, Trałka, Wdowiak i Sobiech).

Gole w finałach PP na Narodowym

Legia (5): Cafu, Jodłowiec, Niezgoda, Prijović, Saganowski.
Arka (3): Siemaszko, Sołdecki, Zarandia.
Lech (3): Amaral, Trałka i samobójcza (Jodłowiec).
Raków (3): Gutkovskis, Lopez, Wdowiak.
Wisła (2): Satrustegui, Rodado.
Lechia (1): Sobiech.
Pogoń (1): Kolouris.



Trzy z tych goli padły w doliczonym czasie drugiej połowy: Sołdecki (2018), Sobiech (2019) i Satrustegui (2024). Tylko to pierwsze trafienie zyskało miano honorowego (dla Arki), gol Sobiecha przesądził o triumfie Lechii, a bramka Satrusteguiego sprawiła, że arbiter musiał zarządzić dogrywkę w meczu Wisła – Pogoń.

Na żółto i czerwono

W meczu takiej rangi żaden z piłkarzy nie cofa nogi. Niestety, nie zawsze zgodnie z przepisami. W dziewięciu finałach sędziowie pokazali sześć czerwonych i 48 żółtych kartek (dane na podstawie Biblioteki PZPN). Jedyny klub, który nie został ukarany żadną kartką, to Zagłębie Lubin (finalista z 2014 roku). Z sześciu czerwonych tylko Barry Douglas z Lecha otrzymał ją w wyniku drugiej żółtej kartki. Jedynym piłkarzem, który zobaczył dwa żółte kartoniki w barwach dwóch klubów, był Zoran Arsenić (najpierw jako piłkarz Jagiellonii, a później Rakowa). Najwięcej kolorowych kartoników sędziowie pokazali w dwóch ostatnich finałach (13 w meczu Raków – Legia i 12 w starciu Wisła – Pogoń).

WSZYSTKIE FINAŁY NA NARODOWYM

2 maja 2014,
Zawisza Bydgoszcz – Zagłębie Lubin
0:0, karne 6:5

2 maja 2015,
Legia Warszawa – Lech Poznań **2:1 (1:1)**

2 maja 2016,
Lech Poznań – Legia Warszawa **0:1 (0:0)**

2 maja 2017,
Lech Poznań – Arka Gdynia
1:2 (0:0, 0:0) po dogrywce

2 maja 2018,
Arka Gdynia – Legia Warszawa **1:2 (0:2)**

2 maja 2019,
Jagiellonia Białystok – Lechia Gdańsk
0:1 (0:0)

2 maja 2022,
Lech Poznań – Raków Częstochowa
1:3 (0:2)

2 maja 2023,
Legia Warszawa – Raków Częstochowa
0:0, karne 6:5

2 maja 2024,
Pogoń Szczecin – Wisła Kraków
1:2 (0:0, 1:1) po dogrywce

Czerwone kartki (6)

Arka (1): Piesio
Lech (1): Douglas
Legia (2): Mladenović, Ribeiro.
Raków (2): Arak, Silva.

Żółte kartki (48)

Legia (13): Augustyniak, Duda, Guilherme, Jędrzejczyk, Kapustka, Kucharczyk, Mladenović, Pazdan, Pekhart, Pesqeira, Prijović, Tobiasz, Wszołek.
Lech (9): Douglas 2, Trałka 2, Milić, Pawłowski, Rebocho, Robak, Skóraś.
Pogoń (7): Biczachczjan, Cojocaru, Gamboa, Kolouris, Koutris, Przyborek, Wędrychowski.
Arka (5): Da Silva, Łukasiewicz, Nalepa, Szwoch, Zarandia.
Wisła (5): Cziczkan, Jaroch, Rodado, Sapała, Uryga.
Raków (4): Arsenić, Gutkovskis, Papanikolau, Wdowiak.
Zawisza (3): Kadu, Micael, Petasz.
Jagiellonia (1): Arsenić.
Lechia (1): Augustyn.

Dublety Skorży, Ojrzyńskiego i Papszuna

Finał krajowego pucharu, to nie tylko rywalizacja klubów i piłkarzy, ale również trenerów. Także tych z polskim i zagranicznym paszportem. Do tej pory drużyny finalistów prowadziło na PGE Narodowym piętnastu szkoleniowców. Ale tylko Maciej Skorża, Leszek Ojrzyński i Marek Papszun mogą pochwalić się dubletem. I wszyscy zrobili to z tymi samymi klubami.



Ojrzyński (z Arką) i Papszun (z Rakowem) przyjechali na PGE Narodowy rok po roku, ale Skorża (z Lechem) miał aż siedmioletnią przerwą. Z tej trójki tylko Skorży nie udało się zdobyć przynajmniej raz tego cennego trofeum.

Z grona tej „piętnastki", siedmiu było przedstawicielami zagranicznej myśli szkoleniowej, a pięciu z nich (Berg, Czerczesow, Klafurić, Runjaić – wszyscy z Legii oraz Rude z Wisły) mogli świętować zdobycie Pucharu Polski. Ta sztuka nie udała się tylko Bjelicy i Gustafssonowi.

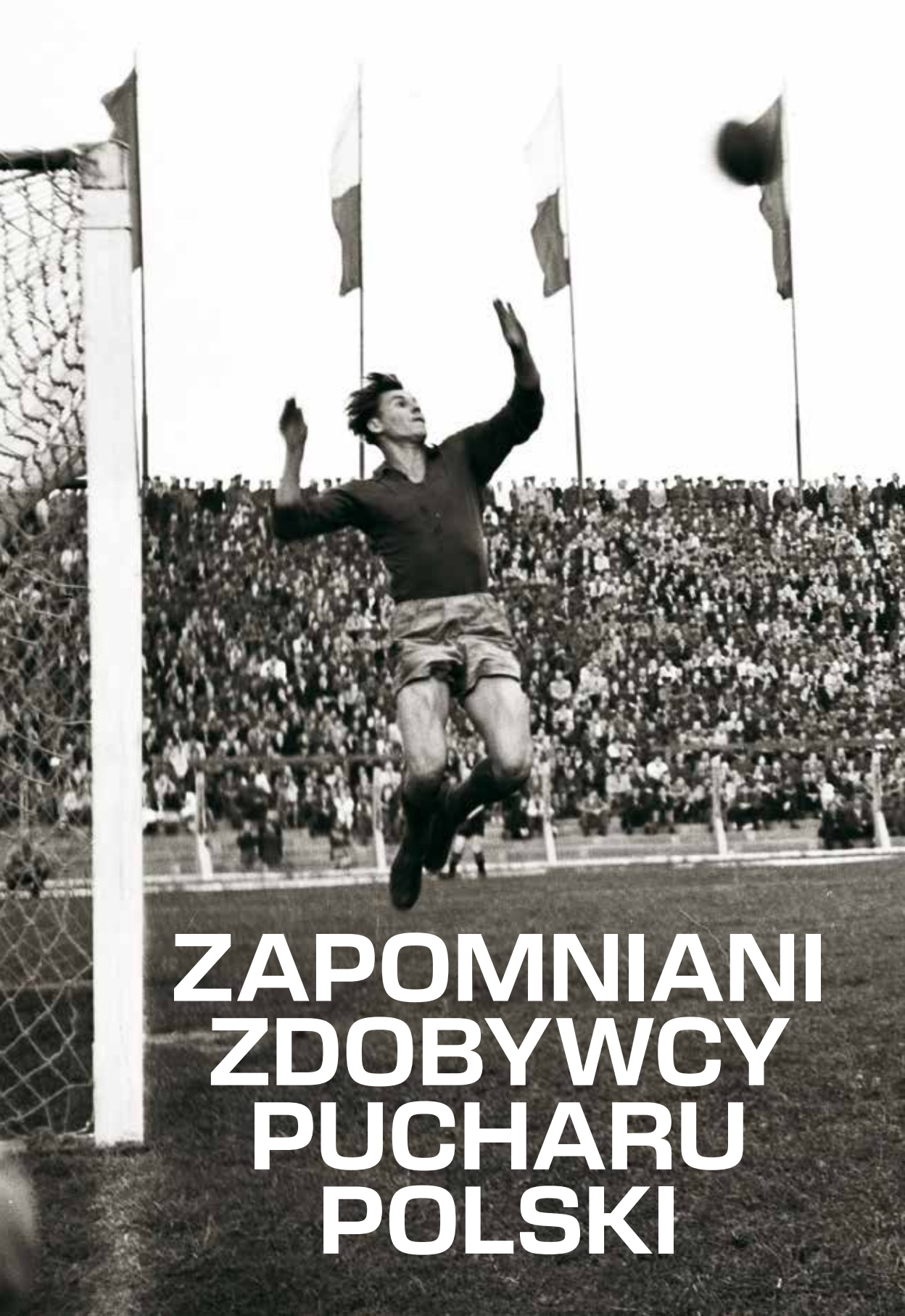
Wszyscy trenerzy prowadzący zespoły w finałach na Narodowym

Ryszard Tarasiewicz	*Zawisza, *2014
Orest Lenczyk	(Zagłębie, 2014
Henning Berg	*Legia, *2015
Maciej Skorża	Lech, 2015, 2022
Jan Urban	Lech, 2016
Stanisław Czerczesow	*Legia, *2016
Nenad Bjelica	Lech, 2017
Leszek Ojrzyński	*Arka, *2017, 2018
Dean Klafurić	*Legia, *2018
Ireneusz Mamrot	Jagiellonia, 2019
Piotr Stokowiec	*Lechia, *2019
Marek Papszun	*Raków, *2022, 2023
Kosta Runjaić	*Legia, *2023
Jens Gustafsson	Pogoń, 2024
Albert Rude	*Wisła, *2024

* triumfatorzy

Sędziować finał Pucharu Polski na PGE Narodowym to zaszczyt i wyróżnienie, ale również odpowiedzialność. Nic w tym jednak dziwnego. W końcu twoją pracę na reprezentacyjnym obiekcie, w tak prestiżowym i ważnym meczu, ocenia niemal cała piłkarska Polska. Dziewięć dotychczasowych finałów sędziowało siedmiu arbitrów.

Dwukrotnie pamiątkowe medale odbierali Szymon Marciniak (2016, 2022) i Piotr Lasyk (2018, 2023), a po razie: Jarosław Przybył (2014), Daniel Stefański (2015), Tomasz Musiał (2017), Bartosz Frankowski (2019) i Tomasz Kwiatkowski (2024). Ciąg dalszy nastąpi 2 maja 2025 roku.



ZAPOMNIANI ZDOBYWCY PUCHARU POLSKI



Puchar Polski zdobywały już drużyny, których nazw próżno szukać dziś na piłkarskiej mapie Polski. Część z nich zmieniła nazwy, nie wszystkie przetrwały próbę czasu, a niektóre choć wciąż grają, ale o takich sukcesach nawet już nie marzą...

Unia Chorzów i Kolejarz Warszawa

Powojenna historia rozgrywek Pucharu Polski rozpoczyna się w 1950 roku. W finale tamtych rozgrywek zmierzyły się Unia i Gwardia, czyli kluby z piękną historią, ale pod innymi nazwami. W ramach odgórnego zalecenia biura politycznego PZPR, rok wcześniej, w ramach przydzielania klubów do rozmaitych zrzeszeń i zakładów oraz nadawania im nowych nazw, na piłkarskiej mapie Polski pojawiła się Unia. Wcześniej i później, bo już od 1956 r. klub z Chorzowa powrócił do swojej pierwotnej nazwy – był to Ruch. Tamten Puchar Polski zdobyła jednak formalnie Unia, a rywalem była inna ofiara komunistycznych zmian, czyli Gwardia. Klub, który trafił pod skrzydła ówczesnej Milicji Obywatelskiej, wygrał wcześniej pierwszy, historyczny finał Pucharu Polski, ale wtedy nosił nazwę taką jak dziś – Wisła Kraków.

Kolejną edycję także wygrała drużyna, której nazwa i tradycje nie odpowiadały komunistycznym władzom. Finał w 1952 roku był wewnętrzną sprawą klubów ze stolicy, a trofeum wznieśli ostatecznie piłkarze Kolejarza Warszawa. Wykorzenić tradycję przedwojennej Polonii próbowano tak bardzo, że nawet tradycyjne czarne koszulki zamieniono – byłym już polonistom – na bordowe. Dla oddania ducha tamtych czasów warto wspomnieć, że wówczas, w 1952 r. prócz Pucharu Polski, grano także o Puchar Zlotu Młodych Przodowników, który zdobył... Wawel Kraków.

Puchar Gwardii

W 1953 roku już przed pierwszym gwizdkiem finału Pucharu Polski było wiadomo, że wygra Gwardia. W finałowej parze znalazły się bowiem dwa kluby działające wówczas jako milicyjne – Gwardia i Gwardia. Wygrała ta z Warszawy, która pokonała tę z Krakowa. Stołecznej drużyny, wówczas kontynuatora milicyjnego klubu „Grochów", dziś nie ma już wśród istniejących w Polsce klubów piłkarskich, choć jeszcze kilka lat temu Gwardia rywalizowała na poziomie A-klasy.

Trzy dekady bez niespodzianek

Przez kolejne lata finały Pucharu Polski wygrywały najczęściej uznane firmy naszego futbolu. Zwyciężał Górnik Zabrze, Legia Warszawa czy Lech Poznań, ale Puchar zdobywało też choćby Zagłębie Sosnowiec. W finałach meldowały się drużyny np. z Żagania albo Rybnika, ale ostatecznie i Czarni, i ROW przegrywali finałowe boje. Dopiero w 1998 roku miał miejsce finał, w który dziś może być trudno uwierzyć. Sprawę rozstrzygały między sobą dwie wielkopolskie drużyny – jedna z Wronek, druga z



Konina. Rozgrywany na stadionie w Poznaniu mecz przyniósł mnóstwo emocji i jeszcze więcej kontrowersji, ale ostatecznie Amica po dogrywce pokonała Aluminium 5:3 i reprezentowała Polskę w ówczesnym Pucharze Zdobywców Pucharów. Zespół z Wronek jest kolejnym, którego nazwa zniknęła już z piłkarskiej mapy naszego kraju, pod koniec lat 90. Amica pełniła jednak rolę pucharowego hegemona, zdobywając trofeum trzykrotnie. W kolejnych latach okazywała się w finałach lepsza od GKS Bełchatów i Wisły Kraków.

Dyskobolia po przejściach

Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski to klub z przeszłością sięgającą 1922 roku. Największe sukcesy piłkarze z tego wielkopolskiego miasta obchodzili pod nazwą Groclin Dyskobolia, choć nie wszystkie pucharowe wspomnienia mogą lśnić dziś pełnym blaskiem. Finał z 2005 roku został unieważniony, mimo zwycięstwa Dyskobolii, a dwa lata później drużyna z Grodziska grała w finale jeszcze raz, tym razem już bez kontrowersji pokonując w ostatecznym starciu Koronę Kielce 2:0. Dwa lata później klub, który stracił sponsora grał już na piątym poziomie rozgrywek, a później przez klasę okręgową i A-klasę staczał się w otchłań, by w końcu zniknąć z seniorskich rozgrywek. Od 2010 roku działa za to Uczniowski Klub Sportowy Dyskobolia, który kształci młodych adeptów futbolu. Choć w „Pucharze Tysiąca Drużyn" dziś klubu z Grodziska już nie ma, być może któryś z wychowanków UKS spełni kiedyś marzenia i wzniesie w górę Puchar Polski, tak jak wcześniej czynili to piłkarze Unii, Gwardii, Kolejarza, czy właśnie Dyskobolii.



REKLAMA